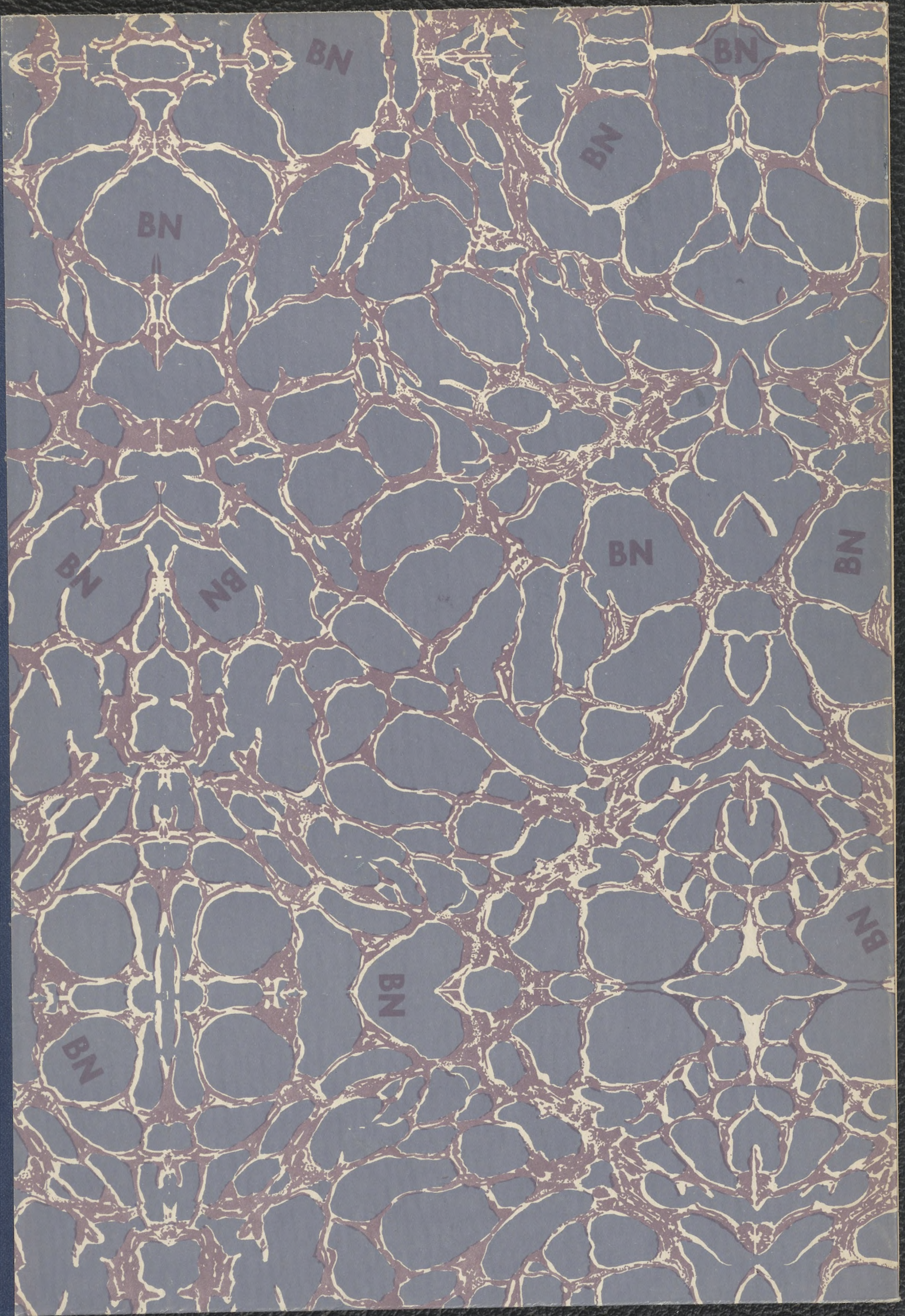
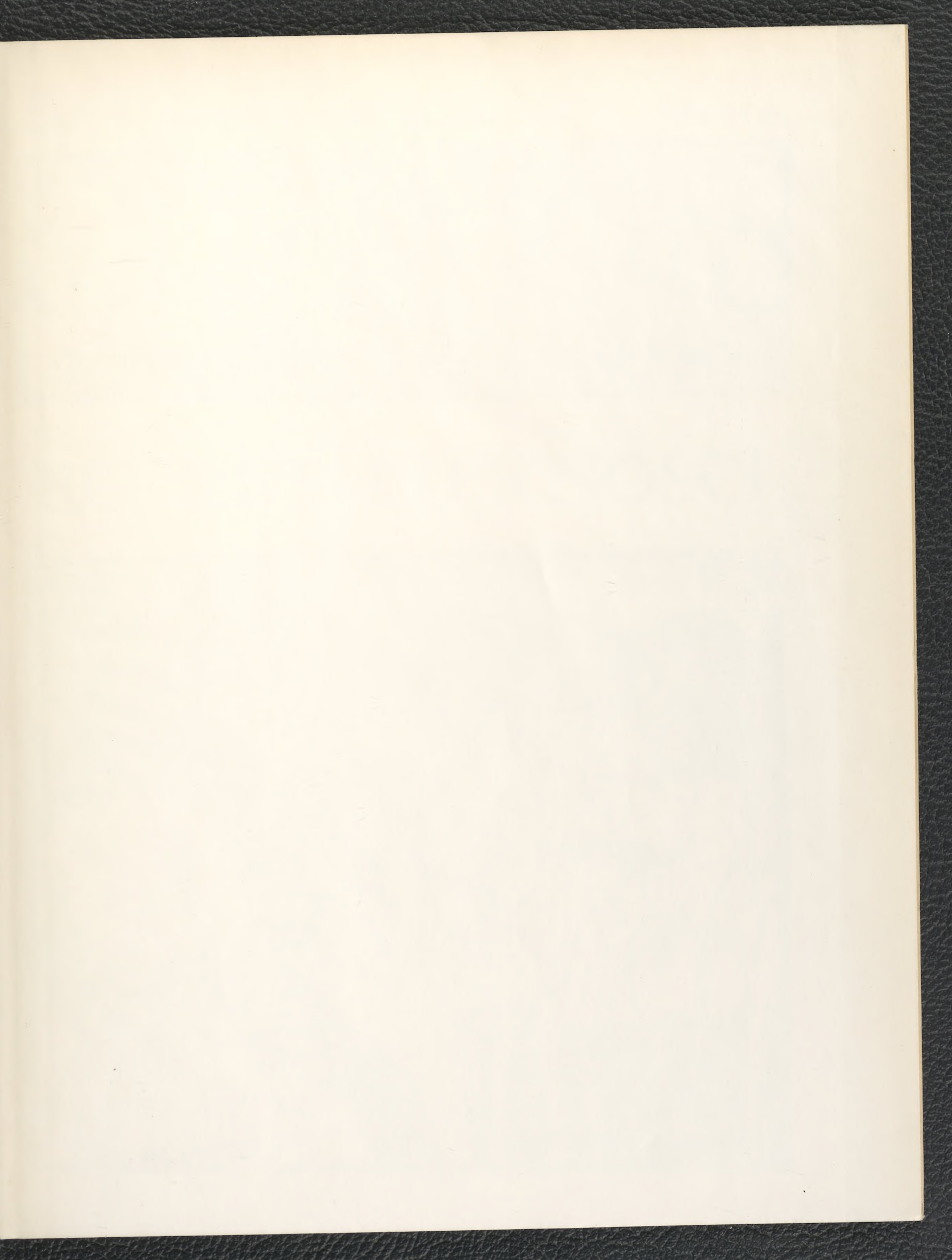


61

623395









III - 623.575  
A  
Nr. 61.

KAZDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ.

Cena 10 gr.



# SEKRET PIĘKNOŚCI





# Sekret piękności

## Maharadża Indrabadu

Raffles siedział w czytelni wielkiego paryskiego hotelu i pisał list. O kilka kroków dalej siedział jego przyjaciel, Charley Brand, zatopiony w lekturze „Figara“.

— Czy mogę ci przeszkodzić na chwilę, drogi Edwardzie? — zapytał.

Raffles podniósł głowę i spojrzał na Charleya.

— Ależ oczywiście — rzekł. — Cóż masz mi do powiedzenia?

Charley wskazał na ilustrację w gazecie:

— Wczoraj w czasie naszej przechadzki znów nas sfotografowano. Jakże to zabawne! Ponieważ i tak nikt nie domyśla się, kim są ci dwaj gentlemani w cylindrach, dziennikarz wyjaśnia publiczności, że są to: maharadża Sorindro i jego sekretarz prywatny — hrabia de Caters. Fotografie są dość udane...

Raffles odłożył pióro i przyjrzał się ilustracjom.

— Tak, to my — a raczej maharadża Sorindro ze swym sekretarzem...

— Co za dziki pomysł, Edwardzie. Uprzytomnij sobie tylko, co by się stało, gdyby fotografia ta wpadła w ręce inspektora policji Baxtera?

Lord Lister, znany również pod nazwiskiem Johna C. Rafflesa, wyjął z kieszeni wspaniałą złotą papierośnicę i zapalił papierosa.

Przez kilka chwil śledził wzrokiem błękitne smugi dymu:

— Postanowiłem sobie teraz, że następnym razem, gdy będę wyjeżdżał z Londynu posłę inspektorowi Baxterowi moją fotografię w stroju hinduskiego księcia oraz order Białego Słonia. Stawiam szylinga przeciwko jednemu pensowi że poczciwy inspektor nie dopatrzy się najmniejszego podobieństwa między moją osobą, a osobą maharadży. Możesz być zupełnie spokojny! A teraz nie przeszkadzaj mi. Piszę list do szefa protokołu angielskiego, aby zechciał mi wyznaczyć odpowiednie memu stanowisku miejsce podczas uroczystości z okazji urodzin małej następczyni tronu...

— Kiedy myślę o tym, że za kilka dni znajdziemy się na królewskim dworze, ogarnia mnie dreszcz, Edwardzie! — Porzuć ten szaleńczy pomysł!...

— Ani mi to w głowie. Od kilku wieków naj-

starsi synowie naszego rodu byli zawsze obecni podczas uroczystości rodzinnych na dworze królewskim. Na mnie, ostatniego z rodu Listerów, spada dziś ten obowiązek. Nie widzę w tym nic złego, że w uroczystościach tych asystować będę w przebraniu. Robię to tylko w tym celu, aby zabawić się trochę kosztem Baxtera. Opracowuję pewien plan, którego realizacja uczyni z Baxtera urzędowego wesółka i błazna.

Charley Brand uśmiechnął się ze współczuciem.

— Biedny Baxter! Gdyby choć przeczuwał, że znowu knujesz przeciwko niemu!

Raffles zabrał się z powrotem do pisania listu. Donosił wysokiemu dygnitarzowi, że zatrzymał się chwilowo w Paryżu, skąd zamierza, jako wierny obywatel Jego Królewskiej Mości udać się do Londynu, aby złożyć hołd swemu władcy. Weźmie również udział w uroczystościach, mających się odbyć z okazji urodzin księżniczki. Wskazywał datę swego przybycia.

Raffles, znając dokładnie stosunki hinduskie, wiedział, że list ten nie będzie poddany specjalnej weryfikacji. Termin uroczystości był zbyt bliski, a wskazane przez niego królestwo w Indiach leżało zbyt daleko!

Już poprzednio ucharakteryzował się za maharadżę. Miał ciemną cerę, długą czarną brodę i nosił złote kolczyki. Lecz na tym koniec. Maharadża, w czasie swej podróży po Europie nosił strój europejski.

Raffles pieczętując list posługiwał się pieczęcią, którą otrzymał ongiś od księcia Indrabadu.

Zadzwoił, aby list zanieślono na pocztę.

Do czytelni wszedł lokaj, który zameldował Rafflesowi, że w hallu oczekuje nań tłum kupców, handlujących klejnotami, agentów firm samochodowych... Wszyscy ci ludzie domagają się, aby ich dopuszczono przed oblicze Jego Wysokości...

Od chwili pojawienia się w Paryżu, Tajemniczy Nieznajomy grał swoją rolę po mistrzowsku. Zająchał do wytwornego hotelu, zachowując incognito. Na tydzień wcześniej telegrafował aby przygotowano dlań apartamenty, rezerwowane zazwyczaj tylko dla książąt i wybitnych dostojników.

Raffles przywiózł ze sobą bogate stroje hinduskie, broń oraz inne cenne przedmioty i rozłożył je

w swoich pokojach. Były tam, między innymi, arcydzieła o niezwyklej wartości.

Nie więc dziwnego, że w kilka godzin po przybyciu cudzoziemca, służba wiedziała już dokładnie, kogo goszcza mury znanego hotelu. A w dwadzieścia cztery godziny później wszystkie gazety — dzięki niedyskrecji portiera — zaczęły się szeroko rozpowiadać o pobycie w Paryżu potężnego i bogatego maharadży z Indrabadu, „Maharadża“ przez swych poddanych zwany był radżą Sorindro.

Kupcom i agentom, którzy cierpliwie czekali w hallu, Raffles polecił odpowiedzieć, że chwilowo nie potrzebuje niczego, a odpowiednie zakupy poczyni wówczas, gdy będzie wracał z Londynu.

Dostawcom odpowiedź ta nie bardzo przypadła do smaku. Zwłaszcza jeden z nich, agent automobilowy, począł objawiać największe niezadowolenie. Miał nadzieję, że sprzeda hinduskiemu księciu wielką wspaniałą maszynę i że dzięki temu zrobi swym wozom niesłychaną reklamę.

Nie mogąc uzyskać audiencji u samego maharadży starał się zobaczyć z jego sekretarzem, hrabią de Caters.

Wprowadzony do Charleya, agent starał się wszelkimi sposobami zyskać jego przychylność. Oświadczył mu między innymi, że składa do jego dyspozycji 50.000 franków, które Charley będzie mógł obrócić na jakikolwiek cel dobroczynny wedle własnego uznania. Miał nadzieję, że młody sekretarz domyśli się, że te pieniądze przeznaczone są dla niego. Młody człowiek uzbroidł się w jedną ze swych najbardziej naiwnych min i zmusił agenta do postawienia kropki nad „i“. Agent przyznał się, że zamierza dać 50.000 franków temu, kto skłoni maharadżę do przyjęcia w prezencie samochodu, wzamian za udzielenie mu tytułu generalnego dostawcy.

Charley powtórzył tę rozmowę swemu przyjacielowi. Raffles roześmiał się wesoło.

— Jeśli chce on aż tak gwałtownie pozbyć się swojego samochodu, nie pozostaje mu nic innego, jak mi go przyjąć!

Nazajutrz wspaniała limuzyna wjechała na dziedziniec hotelu. Tegoż jeszcze wieczora sprytny kupiec ogłosił we wszystkich gazetach, że Jego Wysokość książę Indrabadu kupił samochód marki Verdier i że pan Verdier został oficjalnie mianowany generalnym dostawcą maharadży Indrabadu.

Co dzień napływali rozmaici jubilerzy, krawcy, a nawet fabrykanci patefonów z podobnymi propozycjami. Zjawili się nawet fabrykanci mebli i aeroplanów. Wszyscy idąc za przykładem agenta automobilowego wręczali Charleyowi stosy banknotów, na cele dobroczynne i przysyłali maharadży wspaniałe podarki.

John Raffles wiał się ze śmiechu. Na dwa dni przed wyjazdem z Paryża, Charley wprowadził go do pomieszczenia, w którym mieściły się prezenty zaofiarowane hinduskiemu księciu.

— Powiedz mi, Charley — zapytał Raffles ukończony inspekcją — ilu mam teraz dostawców w Paryżu?

Charley zaczął liczyć. Gdy doszedł do sześćdziesięciu, Raffles zatrzymał go.

— Widzę — rzekł, — że prawie cały Paryż... A ile pieniędzy otrzymałeś na „dobroczynne cele“? 230.000 franków.

Raffles pokiwał głową.

— Trudno sobie wyobrazić jak szczodrzy są paryżanie wobec osób, które od nich niczego nie żądają!...

— Nie zapominaj, że nadałeś im wszystkim tytuły dostawców nadwornych...

— Tak, to prawda — przyznał Tajemniczy Nieznajomy.

## Lista dostojnych gości

Wielki zegar, na gmachu głównej siedziby policji londyńskiej wybił godzinę piątą.

Detektyw Marholm pełniący od kilku lat obowiązki sekretarza inspektora Baxtera liczył niecierpliwie uderzenia. Przy piątym uderzeniu rzucił rozpaczone spojrzenie na olbrzymi stos papierów, piętrzący się przed nim na biurku i szepnął:

— Diabeł wie, w jaki sposób czas przeszedł mi tak szybko! Od samego rana pracuję w pocie czoła, aby zlikwidować zaległości pozostawione przez mego szefa, a ten stos jak na złość, zupełnie się nie zmniejszał!

W tej samej chwili do biura wszedł inspektor policji Baxter.

— Powinniście mniej palić, Marholm — zawołał. — Rozumie się, że nie możecie skończyć roboty, skoro marnujecie swój czas na napychanie fajki, zapalanie jej i przyglądanie się dymowi!

Marholm spojrzał nań z ironią. Wyciągnął z kieszeni fajkę.

— Bardzo jestem panu wdzięczny, inspektorze... Przypomniał mi pan, że od południa jeszcze nie paliłem. Już naprawdę pora...

Baxter spojrzał na swego podwładnego ze spokojem.

— Zatrujecie się na śmierć nikotyną, — rzekł. Marholm wielkim palcem u prawej ręki napychał spokojnie fajkę.

— Nikotyna jest rzeczą, którą pogardzać nie należy. — Tu splunął tak celnie, że trafił tuż obok błyszczących pantofli Baxtera. — Wolę umrzeć wskutek zatrucia nikotyną, niż na delirium tremens z powodu nadużycia alkoholu. Alkoholicy wszyscy, gną marnie.

Inspektor Baxter stał przez cały czas w drzwiach. Pienił się z wściekłości.

— Chcę wierzyć, Marholm — rzekł, — że nie czynicie aluzji do paru kieliszków koniaku, które wypijam od czasu do czasu...

Marholm otoczony obłokiem błękitnego dymu milczał. Gdyby Baxter potrafił czytać w jego myślach, wyczytałby z pewnością następujące zdanie:

— Tu nie o kieliszek koniaku chodzi, ale o beczkę!

— Co mamy jeszcze do roboty? — zapytał Baxter zbliżając się do biurka.

Miało to się odnosić do niego i Marholma... W rzeczywistości odnosiło się tylko do Marholma, ponieważ Baxter z wyjątkiem podpisywania „kawałków“ nic właściwie nie robił.

Marholm podchwycił ostatnie zdanie swego szefa i akcentując złośliwie odparł:

— Niestety, „my“ mamy dużo jeszcze do roboty. Musimy przedłużyć czas naszego urzędowania w biurze. Nie skończymy nawet przed godziną dziesiątą wieczorem. W razie potrzeby pozostaniemy tu aż do nocy...

Inspektor melancholijnie potrząsnął głową:

— Tak, drogi Marholmie... Nasze obowiązki są ciężkie. Nie wiemy naprawdę, gdzie podziąć głowę...

Mówiąc to, przechadzał się po gabinecie z miną człowieka naprawdę zajętego.

Nagle zatrzymał się przed Marholmem.

— Wychodzę — rzekł uderzając swego sekretarza po ramieniu — liczę na was, Marholm... Wierzę, że znajdziecie się na wysokości zadania. Cały Londyn oczekuje od nas, — to jest ode mnie, — że w dalszym ciągu będę walczył zwycięsko z przestępcami. Żyjemy w ciężkich czasach, Marholm... Zaledwie uwolniliśmy się od kłopotów związanych z małżeństwem księcia Yorku, a już znów zwalają nam się na głowę obowiązki związane z chrzczeniem księżniczki. Przekonamy się z pewnością, że rozporządzamy zbyt małym personelem, aby zapewnić bezpieczeństwo zaproszonym osobistościom.

Szef protokołu oznajmił mi dzisiaj, że wręczy mi listę cudzoziemców, zaproszonych do Londynu. Wskaże mi również dokładną datę ich przybycia oraz dworce, na które przyjadą. Czy zechcielibyście zaczekać do chwili, aż ten list nadejdzie?

— Nie, naprawdę nie. Jestem przepracowany i tęsknię do odpoczynku. Zdażymy jutro zająć się tą sprawą!

Zamglone oczy Baxtera spoczęły na Marholmie. Skinął na pożegnanie ręką i wyszedł. Na szczęście nie usłyszał już życzeń, które w ślad za nim posłał Marholm.

— Obyś dostał zylaków z próżniactwa — krzyczał. — Poczekaj trochę, znaję sposobność, aby się na tobie zemścić...

W kilka minut po wyjściu Baxtera zjawił się goniec szefa protokołu i wręczył Marholmowi listę cudzoziemskich książy i władców, oczekiwanych w Londynie.

Marholm rzucił okiem na listę, przypominając kartkę wyrwaną z almanachu gotajskiego.

— Będziemy mieli sporo kłopotu — rzekł do siebie.

Sięgnął po listę i zabrał się do jej studiowania. Przy każdym nazwisku notował liczbę policjantów, którzy mieli strzec danej osoby.

Nagle zatrzymał się: doszedł właśnie do osoby władcy Indrabadu. „Jego Wysokość radża Solindro, władca Indrabadu, przybywa jutro z Paryża na dworzec „Victoria“ o godzinie siódmej dwadzieścia pięć wieczorem. Maharadży towarzyszy jego sekretarz osobisty, hrabia de Caters“.

Lekki uśmiech rozjaśnił twarz Marholma. Odniósł bowiem wrażenie, że radża Solindro, to nikt inny, jak lord Edward Lister, alias John C. Raffles. Nie miał już prawie żadnych wątpliwości, kiedy przy nazwisku radży Solindro przeczytał adnotacje szefa prokuratury. Życzył on sobie bowiem, aby do eskortowania egzotycznego gościa wyznaczono policjantów dobrze się zewnątrznie prezentujących. Marholm wstał, włożył palto i wyszedł z biura. Nawiasem powiedziawszy, nie śniło mu się ani przez chwilę, aby spędzić noc w Scotland Yardzie.

Po drodze zastanawiał się nad osobą tajemniczego maharadży Solindro. Nabierał coraz głębszego przeświadczenia, że kryje się tu jakaś mistyfikacja, której ofiarą padnie niewątpliwie jego szef.

## Brodawka Baxtera

Nazajutrz rano, gdy Baxter wszedł do biura, Marholm przywitał go z radosnym uśmiechem.

Oddawna inspektor szukał już okazji do sprzeczeki ze swym podwładnym. Tej okazji dostarczyła mu wesołość, malująca się na twarzy sekretarza.

— Co was znów ugryzło? — zapytał na samym wstępie.

— Jeśli mnie coś ugryzło, to chyba „skoczyło“

na mnie z pana, panie inspektorze — odparł Marholm, zwany przez swych kolegów „Pchłą“.

Baxter skrzyżował ręce na piersi, spojrzeniem piorunującym zgromił swego sekretarza, który szepkał właśnie w tej chwili w swych kieszeniach fajki...

— Jak śmiecie? — zawołał.

— A dlaczego pyta mnie pan, czy coś mnie „ugryzło“?

— Ponieważ krzywicie się w sposób niełitościwy...

Marholm zbliżył się do wiszącego na ścianie lustra:

— Ja tego nie widzę...

— Wierzę wam — zaśmiał się ironicznie Baxter, — Wy nigdy nic nie widzicie.

— No „no...! — odparł Marholm — nie powiedziałbym tego. — Widzę coś nawet na panu, panie inspektorze...

— Na mnie? Znów pozwalacie sobie na jakiś niemądry żart. Ostrzegam was: wymierzcie wam siarczysty policzek!...

— Do wszystkich diabłów! Służba w Scotland Yardzie nie jest łatwa.

— Choć mnie ręka świerzbii, postaram się powstrzymać przez chwilę... Co spostrzegliście na mnie?

— Wystarczy, aby spojrzeć pan do lustra, panie inspektorze...

Baxter stanął przed lustrem, przyglądając się uważnie swemu obliczu.

— Czy mówicie o brodawce, którą mam na nosie?

— Oczywiście: wspaniała brodawka. Jeszcze nie widziałem nigdy u żadnego z moich bliźnich brodawki tak pięknej w kolorze i o tak artystycznym kształcie. Mówiąc szczerze upiększa ona pański nos niesłychanie...

Baxter nie wiedział, czy sekretarz jego żartuje, czy mówi poważnie.

— Czy macie coś do zarzucenia mojej brodawce?

— Nie, wprost przeciwnie... Zresztą zauważyłem ją dopiero dzisiaj.

Inspektor skrzywił się pogardliwie.

— Pótwierdzacie tylko moje zdanie. Nigdy nie widziałem. Od przeszło dwudziestu lat mam tę brodawkę na nosie.

Marholm wstał, zbliżył się do swego szefa i podniósł głowę począł przyglądać się uważnie lewej połowie jego nosa:

Od przeszło dwudziestu lat... Tak... Ta brodawka pochodzi z okresu dość dawnego... To widać od razu. Za jakieś lat dwadzieścia stanie się większa od pańskiego nosa...

— To niemożliwe! Od początku była taka duża, jak dziś. Pytałem się specjalisty: zapewnił mnie, że ludzie wybitni miewają zwykle na nosie takie brodawki: zacytował mi przykład Liszta, znanego kompozytora a nawet samego Napoleona...

— Słyszałem o brodawkach Liszta, ale nigdy jeszcze nie słyszałem o brodawkach Napoleona...

— Wcale mnie to nie dziwi, biorąc pod uwagę poziom pańskiej edukacji. W szkołach początkowych nie uczą takich rzeczy!

— O ile mi wiadomo, panie inspektorze, pan również edukację ukończył na szkole początkowej...

Marholm skończył w międzyczasie nabijanie swej fajeczki i zabrał się do palenia. Inspektor wciągnął w płuca przesycone dymem powietrze. Nie znosił zapachu holenderskiego tytoniu, którego używał sekretarz.



Baxter westchnął, zapalił cygaro, siadł za biurkiem i założywszy nogę na nogę, zapytał:

— Co nowego?

— Wczoraj, w chwilę po pańskim wyjściu, przysłano listę zaproszonych gości. Przy każdym nazwisku zanotowałem ilość i nazwiska policjantów, mających sprawować straż. W jednej jednak sprawie chciałem się z panem porozumieć.

— W jakiej?

Marholm otworzył akta, wyjął listę, przyslaną przez szefa protokołu i zaciągnął się dymem swej fajki:

— Jego Wysokość maharadża Indrabadu żąda, ażebyśmy do strzeżenia jego osoby wybrali ludzi skończeni pięknych.

Przez chwilę obserwował twarz swego szefa z poza zasłony dymnej.

— Cóż w tym trudnego, Marholm? — odparł Baxter — będę tam osobiście i...

Przerwał, szukając w myślach pomiędzy swymi podwładnymi tych, którzy byłiby najgodniejsi, aby eskortować maharadżę.

— Proszę mi wybaczyć, panie inspektorze — rzekł, wyrывая go z zadumy. — Wydaje mi się to trochę ryzykowne.

— Cóż w tym widzicie ryzykownego?

— Nie może pan chyba wystąpić publicznie, jako człowiek o nieskazitelnej prezencji...

Marholm nie skończył rozpoczętego zdania. Ciężka pięść inspektora z hałasem opadła na biurko. Marholm drgnął i spojrzął na swego szefa z dobrze udanym zdumieniem. Twarz Baxtera, przybrała barwę ciemno - fioletową.

— Co się stało? — zapytał sekretarz.

— Co się stało? — ryknął Baxter. — Wiecie równie dobrze, jak i ja. Znieważyliście mnie i to spowodowało moje zdenerwowanie! A idźcież już raz do diabła ze swymi uwagami! Jak śmiecie oponować, mnie — szefowi policji kryminalnej w Scotland Yardzie?

— Ja bynajmniej nie oponuję...

— Sprzeciwicie mi się... Utrzymujecie, że nie posiadam kwalifikacji, niezbędnych do reprezentowania Scotland Yardu w czasie przyjęcia hinduskiego księcia.

— Przyznaje... Z powodu pańskiej brodawki na nosie...

Baxter uśmiechnął się gorzko.

— Grzeszycie brakiem inteligencji. Powinniście wiedzieć, że taka brodawka jak moja, tylko upiększa mężczyznę. Na łaje ona twarzy coś pikantnego. Nie znacie się, Marholm, zupełnie na urodzie męskiej.

— Nie chciałbym pana urazić, panie inspektorze... Chodzi nietylko o brodawkę, ale o całość pańskiej twarzy... Mówię panu szczerze, że pańska fizjonomia nie może podobać się maharadży Solinđro. Moim zdaniem, powinien się pan poradzić kompetentnych osób.

Baxter podniósł się, podbiegł do drzwi i zawołał:

— Dowiodę wam, że jesteście w błędzie. Dyżurni policjanci będą naszymi sędziami.

Otworzył drzwi, wiodące na korytarz, gdzie się znajdowało kilku policjantów i detektywów.

— Chodźcie tutaj... Nie wszyscy razem: jeden za drugim!

W kilka chwil po tym, pierwszy policjant stał przed Baxterem wyprostowany na baczność.

— Powiedźcie mi — zapytał Baxter — czy uważacie mnie za przystojnego człowieka?

Peczniwy Irlandczyk uśmiechnął się z zakłopotaniem:

— Wygląda pan nieźle, panie inspektorze — odparł. — Nie potrafię jednak powiedzieć, czy pan jest przystojny...

Baxter rzucił na policjanta wściekle spojrzenie, podczas gdy Marholm skręcał się ze śmiechu.

Gdy ostatni z policjantów opuścił pokój, Baxter rzekł do Marholma ze złością:

— Wy i wasi koledzy należycie do jednej i tej samej kategorii. To wstyd, przysięgliście się przeciwko mnie!

— Ma pan możliwość zbadania słuszności tej oceny — odparł Marholm. — Wystarczy jeżeli pan zwróci się do jakiegoś eksperta, których nie brak w Londynie.

— Pomyśl nie jest zły, — pomyślał Baxter — trzeba będzie spróbować. Ekspert, oczywiście, nie powinien wiedzieć kim jestem. Gotówby powiedzieć prasie o mojej wizycie, a wówczas nicby mi już nie brakowało do szczęścia!

Z rozmyślań tych wyrwał go Marholm.

— Będzie pan musiał, panie inspektorze, wyznaczyć policjantów do eskorty hinduskiego księcia. Może pan mnie wciągnąć na listę.

Baxter wzruszył pogardliwie ramionami

— Was? Nie przeglądaliście się chyba nigdy w lustrze. Mógłbym was jedynie posłać do muzeum okropności..

— Moja żona twierdzi, że jestem przystojny...

— Wasza żona nie ma gustu. Dowiodła tego wychodząc za was żonę.

— Proszę nie mieszać mojej żony do tej rozmowy, — odparł Marholm. — Gdybym jej powtórzył to, co słyszałem przed chwilą...

Baxter zamilkł. Otworzył jakieś akta i udał, że je czyta. Po chwili zwrócił się w stronę Marholma. Sekretarz zbierał wycinki z gazet.

— Co wy tam robicie?

— Nic — odparł krótko Marholm, nie przerywając swego zajęcia.

— Wracając do poprzedniego tematu, Marholm — zaczął znów Baxter. — Nie mówiliście chyba na serio przed chwilą, że nie uważacie mnie za przystojnego?

— Mówiłem poważnie... Skoro nie wierzy pan, ani swoim kolegom, ani mnie, musi pan zapytać kogoś innego.

— Zupelnie słusznie... Ponieważ ta kwestia jest sprawą służbową, wychodzę natychmiast. Może na Strandzie znajdę kogoś, kto da mi odpowiedź!...

## Baxter jest zły

Marholm zwany „Pchłą“ należał do tych nielicznych funkcjonariuszy Scotland Yardu, do których najchętniej zwracali się dziennikarze po informacje

Tegoż wieczoru Marholm, wychodząc z biura, natknął się na reportera z „London News“. Dziennikarz przywitał się z nim wesoło.

— Czy mogę was odprowadzić? — zapytał.

— Proszę bardzo — odparł Marholm.

Po drodze detektyw opowiedział mu o piśmie szefa protokołu. Dziennikarz zanotował starannie daty i godziny przybycia poszczególnych osobistości. Mieli się już rozstać, gdy dziennikarz po prostu z obowiązku zawodowego rzucił ostatnie pytanie:

— Czy to już wszystko, Marholm?

„Pchła“ zastanowił się przez chwilę i rzekł:

— Zapomniałem o najważniejszym. Otrzymali-  
my rozkaz, aby wysłać na uroczystość tylko ludzi  
o nieskazitelnej powierzchowności.

Dziennikarz uśmiechnął się.

— Mówiąc między nami, Marholm, obawiam się,  
że nie znajdzie pan w Scotland Yardzie ani jednego  
policjanta, któryby odpowiadał wymaganiom szefa  
protokołu. Weźmy choćby naszego inspektora  
Baxtera... Trudno na niego po prostu patrzeć.

Marholm skinął głową.

— Zgadza się z panem. Baxter istotnie nie od-  
znacza się urodą. Najzabawniejsze jest jednak to,  
że ma on pod tym względem wielkie pretensje. Prze-  
konałem się o tym wreszcie dziś, kiedy chciał mnie  
przekonać, że pomimo brodawki na nosie, należy do  
najpiękniejszych mężczyzn w królestwie.

— To on ma brodawkę na nosie?

— I jeszcze jaką? Niedługo osiągnie rozmiary  
sporego korniszona!

— To ciekawe... Muszę zanotować ten szczegół.

Obaj mężczyźni roztali się. Marholm wrócił  
do domu. Miał wrażenie, że wypłatał swemu szefo-

— Co chciała pani przez to powiedzieć? — za-  
pytał Baxter urażony. Czy mam przez to rozumieć,  
że powierzchowność moja nie może wzbudzić po-  
żądania?

— Tego nie powiedziałam — odparła Eulalia —  
ale od razu widać, że pan za dobrze sobie żył... Stąd  
też między innymi pańska polerowana łysina...

Rozstrzygnąwszy w ten sposób raz na zawsze,  
zasadniczą sprawę, Baxter i Eulalia żyli w dosko-  
nalej zgodzie. Z jednego tylko powodu powstawa-  
ły awantury. Eulalia postanowiła, że jej pan po-  
winien wstawać zawsze o określonej godzinie i o tej  
godzinie budziła go codziennie rano.

Daremnie Baxter zmęczony całonocną hulanką  
błagał o kilka minut wypoczynku. Nic nie pomogło.  
Eulalia była niewzruszona.

— Mój drugi mąż był urzędnikiem kolejowym  
— mówiła. — Nauczyłam się od niego, że funkcyj-  
nariusz państwowy powinien być o swojej godzinie  
na posterunku. Prędzej... Wstawać!

Baxter wpadł pewnego dnia na genialny po-  
mysł: zamknął na klucz drzwi swej sypialni. Naza-  
jutrz rano Eulalia nie mogła dostać się do wnętrza.  
Skrzyżowała ręce na piersiach i zamyśliła się głą-  
boko. Nagle z piersi jej wydarł się tryumfalny o-  
krzyk. Pobiegła do telefonu i zaalarmowała straż.  
W pięć minut później oddział straży wraz z drabina-  
mi i sikawkami zatrzymał się przed domem inspek-  
tora policji. Eulalia czekała na nich przed bramą.  
Strażacy zeskoczyli z wozów i zarzucili ją pytaniami  
gdzie pożar.

Zaprowadziła ich przed drzwi Baxtera.

— Rano poczułam zapach gazu — rzekła. —  
Obawiam się, czy nie przytrafiło się jakieś nieszczę-  
ście naszemu inspektorowi. Walitałam z całych sił do  
jego drzwi... Nie otrzymałam odpowiedzi... Dlatego  
też postanowiłam panów wezwać!

Z kolei strażacy zaczęli walić do drzwi. Żad-  
nej odpowiedzi. Musieli wobec tego uciec się do sto-  
sowanych zwykle metod: zaczęli rąbać drzwi siekier-  
kami.

Baxter, wyrwany nagle z najlepszego snu, wy-  
skoczył z łóżka. Na widok strażaków przekleństwo  
zamarło na jego ustach.

— Nareszcie udało nam się pana obudzić, —  
rzekła spokojnie Eulalia. — Obawiałam się, czy nie  
przytrafiło się panu jakieś nieszczęście.

Spokojnie skierowała się w stronę kuchni, od-  
prowadzana przekleństwami Baxtera i okrzykami  
niezadowolona ze strony strażaków.

Poza takimi nie znaczącymi incydentami,  
pomiędzy Baxterem a jego gospodynią panowała  
idealna harmonia.

Tegoż ranka zajęta była ona popijaniem herba-  
ty i czytaniem pierwszej strony „London News”.  
Nagle wybuchnęła głośnym śmiechem.

Na pierwszej stronie dziennika ujrzała bowiem  
wielką karykaturę wyobrażającą Baxtera w lustrze.  
„Z tą brodawką jest mi diabeł do twarzy” —  
brzmiał podpis.

Gdy Eulalia odzyskała swą zwykłą powagę, za-  
brała się do odczytywania artykułu. W artykule  
tym była mowa o rozkazie szefa protokołu, doty-  
czącym wydelegowania na uroczystości kilku przy-  
stożnych detektywów.

— Nie wiemy, jak inspektor Baxter wywiąże  
się z tego polecenia — pisał dziennikarz i wreszcie  
wywody swe zakończył propozycją, aby urządzić  
konkurs piękności wśród policjantów.



## Książki za bezcen

Z powodu zapasu sprzedaje-  
my najnowszy komplet książek  
bardzo tanio: Każdy ma-  
łym kosztem nauczyć się mo-  
że wielu ciekawych rzeczy ku-  
pując nasze książki. 1. Adwo-  
kat doradca domowy. Wzory  
odwołań podatkowych, skarg  
sądowych, podań do władz i  
urzędów. Sprawy egzekucyjne,  
majątkowe, eksmisyjne, rolne,  
budowlane, spadkowe, weksło-  
we, kredytowe, wojskowe, mał-  
żeńskie. Wzory umów dzier-  
żawnych, ofert, podań o pracę itp. — 2. Polski  
sekretarz dla wszystkich. Wzory listów prywat-  
nych, ofert, powinszowań itp. 3. Zwyczaje i for-  
my towarzyskie Kodeks o dobrych obyczajach  
i według wymagań życia. 4. O czym wiedzieć  
powinni ludzie pobierając się. 5. Studium o ko-  
biecie. Ciekawe myśli i aforyzmy. Cenna książ-  
ka odświeżająca duszę kobiecą. Cały komplet zł.  
3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie. — Pła-  
ci się przy odbiorze. — Adres:

**Kazimierz Kołodziejczyk**

Warszawa I. Pl. Napoleona str. pocz. 802 LL.

wi złośliwego figla. Nie czynił sobie z tego powo-  
du żadnych wyrzutów. Uważał, że zasłużył na na-  
uczce.

Następnego dnia Eulalia Quickebought, gospo-  
dyni inspektora Baxtera siedziała w kuchni i piła  
herbatę. Mister Quickebought umarł przed roktem.  
Pozbawiona środków do życia, wdowa dała ogłosze-  
nie do gazety, że poszukuje stanowiska gospodyni,  
najchętniej u kawalera.

— Biorę panią do służby pod jednym warun-  
kiem: niech pani sobie przypadkiem nie wbije do głó-  
wy, że się z panią ożenię — rzekł Baxter.

Słyszając to, Eulalia spojrzała nań i odparła dum-  
nie:

— Może pan być spokojny, panie inspektorze  
policji. Nie mogłabym przysiąc, czy nie zakocham  
się jeszcze w kimś. Ale pewna jestem, że ten „ktoś”  
będzie musiał inaczej wyglądać, niż pan...

Jesteśmy pewni, że pierwsza nagrodę uzyska pan inspektor Baxter, dzięki swej pięknej, olbrzymiej brodawce — konkludował złośliwy reporter.

Z gazetą w ręce Eulalia udała się do pokoju swego pana.

Baxter spał tak głęboko, że żołnierskie kroki jego gospodyni nie zdołały wyrwać go ze snu. Cały pokój trząsał się od jego głośniego chrapania.

Eulalia zaczęła silnie potrząsać jego ramieniem, druga ręka położyła dziennik tuż naprzeciw jego twarzy, tak aby wzrok jego, gdy tylko otworzy oczy, padł na karykaturę.

Szamotanie trwało dość długo. Wreszcie Baxter niechętnie otworzył jedno oko. Spojrzył gazetę. W pierwszej chwili nie zorientował się kogo wyobrażała karykatura. W półśnie wydało mu się nagle, że to jakiś potwór przysiadł na jego łóżku. Krzyknął głośno i oburzał starał się odepchnąć od siebie to, co przyjmował za nieforemny karła. Powołał jednak oprzytomniał. Zdał sobie sprawę, że to tylko dziennik. Rozejrzał się dokoła, spojrzał Eulalię i usiadł na łóżku.

— Jak śmiesz, Eulalio — zawołał. — Cóż ci przyszło do głowy? Zabroniłem ci raz na zawsze przynosić mi gazety. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Gdyby zależało ode mnie, kazałbym wszystkich dziennikarzy utopić w Tamizie...

— Niech się pan uspokoi, panie inspektorze — rzekła Eulalia. — Nie zechce pan chyba boksować się z samym sobą?

— Jak to z samym sobą?

— Przecież okłada pan pięściami swój własny portret.

— Mój portret?

— Tak, pański portret, umieszczony na pierwszej stronie tej gazety. Nawet dziecko poznałoby pana po tej lysej głowie i brodawce na nosie.

Baxter nie pozwolił jej skończyć. Wskoczył z łóżka i wyrwał jej z rąk gazetę. Oczy wychodziły mu z orbit a pot perlił się na czole.

Ręka trzymająca gazetę opadła bezwładnie.

Karykaturą z „London News“ podrywała jego reputację.

— Czy mam panu przynieść filiżankę herbaty? — zapytała Eulalia ze współczuciem. — Jest pan bardzo blady. Zawsze dawałam herbatę moim biednym mężom, kiedy byli słabi. Herbata działa na wzmocnienie...

— Niechże mnie Eulalia zostawi — zawołał Baxter zdenerwowanym tonem. — Jakże można było podsunąć mi pod nos tę gazetę akurat w chwili, kiedy otwieram oczy? Chcicie mnie zabić! Precz z tym przeklętym pismem!... Precz!

Gdyby Eulalia Quickebought nie usunęła się dość szybko, zostałaby uderzona dzbanem wody, który Baxter cisnął w jej kierunku. Zanim jednak dzban sięgnął celu, Eulalia była już w kuchni. Dzbanek rozbił się o drzwi w drobne kawałki. Woda rozlała się po podłodze, zalewając spódnie i marynarkę Baxtera. Inspektor policji miał chwalebny zwyczaj rzucania na ziemię swego ubrania, gdy szedł spać.

Gospodyni uciekając zostawiła gazetę. Baxter chwycił ją i począł się wpatrywać raz jeszcze w złośliwą karykaturę. Na rysunku brodawka przybrała kształty ohydne. Była olbrzymia, uwieczniona na kepka długich rudych włosów...

Wściekłość Baxtera nie miała granic. Rzucił się na gazetę, jak tygrys na swą ofiarę i podarł ją w kawałki. Jak oszalały począł deptać nogami szczątki podartej gazety, a następnie począł wywracać me-

ble w pokoju. Wreszcie chwycił ubranie, ubrał się spiesźnie, jak wichur wypadł z pokoju i wyszedł na ulicę. Nieszczęście chętało, że tuż przed samym Scotland Yardem znajdował się kiosk z gazetami. Sprzedawca, widocznie dla zwrócenia uwagi klientów, wystawił na naczelnym miejscu karykaturę Baxtera.

Egzemplarze „London News“ rozchodziły się jak świeże bułeczki. Na chodnikach tworzyły się niewielkie grupki, oglądające zabawny rysunek i śmiejące się wesoło.

Nagle na właściciela kiosku spadły jakieś dwie silne ręce, podniosły go do góry i cisnęły w sam środek stoiska. Dokoła rozległy się protesty i okrzyki oburzenia. Nikt jednak nie śmiał oficjalnie wszczynać zatargu z wszechpotężnym szefem Scotland Yardu.

Baxter rozejrzawszy się z wściekłością dokoła, wyrwał wszystkie egzemplarze „London News“ z ich przegródki, podarł i rzucił na ziemię.

Po dokonaniu tego bohaterstwa ruszył w dalszą drogę.

W chwili, gdy Baxter zbliżał się do bram głównej kwatery policji biegł za nim już cały tłum. Na czele kroczyli dwaj sprzedawcy gazet — ofiary gniewu inspektora. Wielkim głosem domagali się odszkodowania za poniesione straty.

Baxter nie spojrzał nawet w ich stronę. Majestatycznym krokiem minął bramę i skierował się w stronę swego biura. Marholm siedział za biurkiem i po raz setny zabawiał się oglądaniem karykatury swego szefa. W kilka sekund później ręce Baxtera chwyciły go za gardło i uniosły do góry...

— Zadasze was, Marholm, — grzmiał Baxter — przysięgam sobie, że zabiję każdego, w którym ręku znajdę tę przeklętą gazetę. Nie wyjdziecie żywi z moich rąk! Przeczuję, że to jakiś nowy wasz kawał...

Marholm w żelaznym uścisku Baxtera czuł pierwsze objawy zbliżającej się śmierci przez uduszenie. Czynił rozpaczliwe wysiłki, aby zaczerpnąć tchu. Ani mu się śniło ginać tak niesławna śmiercią; obdarzony niezwykłą siłą, mimo niewielkiego wzrostu i o wiele zwinniejszy od swego przeciwnika, wyrwał się wreszcie z jego rąk i uderzył go tak silnie w szcękę, że Baxter zachwiał się i potoczył na środek pokoju.

— Widzę, że pan oszalał, panie inspektorze — rzekł. — Jak pan śmie na mnie napadać w podobny sposób? Złóż przeciwko panu zameldowanie.

— Przyznaję się — rzekł Baxter, trzymając się za podbródek. — Chciałem się na was zemścić... To wyście byli inspiratorem paszkwilu w „London News“. Nikt inny prócz was nie znał tych szczegółów... To, co powiedziałem wam w zaufaniu wypłuliście zaraz dziennikarzom! Zabiję was, jak zwykłego zbrojaka!

Marholm spojrzał z największym spokojem na swego szefa. Włożył do ust kawał tytoniu do żucia i rzekł:

— Pan naprawdę zwariował... Jeszcze tego brakuje: chce mnie zabić! Jeśli się pan natychmiast nie uspokoi, otwieram drzwi na oścież, wzywam policję i każe pana zamknąć.

Słowa te podnieciły jeszcze wściekłość Baxtera. Podbiegł do szafy, otworzył ją szybkim ruchem... Miał zamiar wyjąć stamtąd browning. Dzięki jednak roztrzepaniu Baxtera broń nie znajdowała się w tym miejscu, gdzie jej szukał.

Spojrzał na pustą półkę i zawołał:

— Jeszcze jeden dowód waszego nieporządku, Marholm... Wiecie, że zgodnie z regulaminem, mój rewolwer powinien się tutaj znajdować...

Wskazał ręką na pustą półkę.

— Wiem o tym — odparł Marholm — pańskiego rewolweru tu nie ma i prawdopodobnie nigdy tu nie było?

— Czy chcecie przez to powiedzieć, że go zgubiłem?

— Tak jest... Cóż mnie zresztą obchodzi pański rewolwer?

— Wszystko tutaj musi was obchodzić. Jesteście moim podwładnym... Oczywiście, nie myślicie nawet o tym. Proszę mi natychmiast znaleźć mój rewolwer, gdyż w przeciwnym razie nie odpowiadam za następstwa.

Marholm bez słowa podszedł do biurka Baxtera, otworzył jedną z szuflad i wyjął rewolwer.

Baxter z westchnieniem ulgi wyciągnął rękę. Marholm uderzył go lekko po palcach i chowając broń, odparł:

— O nie, panie inspektorze... Nie jestem na tyle głupi, aby dać panu w rękę broń, przy pomocy której może mnie pan wyekspediować na tamten świat. Zatrzymuję ten rewolwer i przy pierwszym wroгим odruchu z pańskiej strony uważać

holm... Jesteście wzorem pracownika. Mój Boże! Drzę na samą myśl o tym, że mogłem was zaduścić... Jakążbym poniósł niepowetowaną stratę! Tak, macie rację. Jeśli w gazetach pojawiają się nawet karykatury ministrów, to i mnie to ujmie przyniesie nie może...

— Karykatura zrobiona jest ręką mistrza. Jakie podobieństwo! Nawet pańska brodawka wyszła, jak żywa!

— Tak, to prawda — rzekł Baxter, obmacując palcami nos, aby przekonać się o rozmiarach swej ozdoby.

— Tylko patrzeć, a brodawki wejdą w modę — rzekł Marholm poważnym tonem.

W tej samej chwili od strony westibulu rozległ się jakiś piekielny hałas. Byli to obydwaj dzierżawcy kiosków, zaatakowani przed chwilą przez Baxtera. Głośno i hałaśliwie domagali się odszkodowania za poniesione straty. Sprowadzili nawet ze sobą swoich świadków.

„Pchła“ otworzył drzwi, aby się dowiedzieć, co się stało. Dyżurny policjant w kilku słowach poinformował go o przyczynie hałasu. Marholm zdał sobie sprawę, że nie łatwo przyjdzie mu uspokoić wzburzonych.

**BÓLE W NOGACH, RĘKACH, CAŁYM CIELE?**

*Natychmiast stosuj* **KLEROL**

**MAŚĆ I PŁYN DO KĄPIELI**  
PRZECIW REUMATYZMOWI I ARTRETYZMOWI

*Nie należy zaniedbywać reumatyzmu i artretyzmu  
Leżąc stawy - chronimy serce.*

KLEROL - MAŚĆ WSYSZA SIĘ CAŁKOWICIE W PORY SKÓRNE. NIE BRUDZI NIE PŁAMI

*Dzięki rozpuszczalności Klerolu w wodzie, stosować go można do kąpieli*

**KLEROL DO NABYCIA W APTEKACH I SKŁADACH APTECZNYCH**

się będę za działającego w stanie koniecznej obrony...

To ostrzeżenie, uczynione nader spokojnym tonem, podziałało na Baxtera, jak kubał zimnej wody.

— Mam nadzieję Marholm, że nie wzięliście na serio mych pogroźek...

Postanowił dać za wygraną. Usiadł za swym biurkiem i spoglądał nieruchomo przed siebie. Po kilku minutach zwrócił się do Marholma i rzekł:

— Trzeba natychmiast zarządzić konfiskatę całego nakładu „London News“, w którym znajduje się moja karykatura.

„Pchła“ z niezadowoleniem kiwnął głową.

— Moim zdaniem nie doprowadzi to do niczego... Nie mamy prawa tego robić. Nie rozumiem zresztą pańskiego oburzenia. Każdy obywatel angielski byłby szczęśliwy, że stanowi temat do karykatury. Toż to prawdziwa reklama.

— Jeśli rzecz potraktujemy z tego punktu widzenia, to rzeczywiście...

Twarz Baxtera rozpozodziła się nieco.

— Byłem niesprawiedliwy wobec was, Mar-

— Czego chcecie? — zawołał Baxter, zwracając się do przybyłych.

— To on, poznaję go — zawołał jeden z nich, wskazując palcem na inspektora. — Schwycił mnie za kołnierz i przewrócił na gazety. Zniszczył mi cały towar i zranił mnie w czoło. Żądam odszkodowania...

— Tak, niech zapłaci — zawołał chórem świadkowie.

— Spokój — rozkazał Baxter — nikt nie ma tu prawa mówić bez mego zezwolenia. Nie jesteście na ulicy, ale w moim biurze...

Ton Baxtera zrobił duże wrażenie. Uspokoiło się nieco.

— Czego żądacie? — zapytał już nieco łagodniej Baxter.

Sprzedawcy gazet wyłożyli swą prośbę w sposób znacznie grzeczniejszy.

— Tego tylko jeszcze brakło — zawołał Baxter. — Macie czoło sprzedawać pismo, które mnie znieważa i żalicie się, że ja wam zniszczyłem! Za-

szużyliście sobie na kilka miesięcy więzienia. Marholm, zanotujcie nazwiska wszystkich obecnych!

Groźba ta wywołała ogólną panikę.

Gdy Marholm uzbrojony w papier i pióro chciał przystąpić do notowania nazwisk, w biurze nie było już nikogo.

Baxter spojrział triumfalnie na drzwi.

— Widzicie, Marholm, w jaki sposób można się najłatwiej pozbyć natrętów? Wystarczy powiedzieć im kilka ostrych słów.

— Tak, tak — pomyślał Marholm. — Wiadomo, że utrzymujesz się w Scotland Yardzie tylko dzięki krzykowi.

— Sądze, panie inspektorze, że i ja również muszę się nauczyć krzyczeć — rzekł do inspektora.

— Zobaczmy, zobaczmy — odparł Baxter.

— Może kiedyś uda mi się zrobić z was dobrego policjanta.

## Profesor James Burton

— Dziś wyjeżdżamy do Londynu — rzekł Raffles do Charleya Branda.

Obaj siedzieli w hallu wielkiego hotelu w Paryżu.

— Musisz zwrócić się do jakiejś firmy przewozowej, aby zajęła się pakowaniem licznych prezentów, które otrzymałem od mych dostawców. Chcę zabrać je z sobą, aby olśnić Londyn ilością skrzyń i bagaży. Uwierdzi to ich w mniemaniu, że moja bajeczka o hinduskim nababie jest prawdziwa.

Charley zajęty poliurowaniem swych paznokci, spojrział na niego ze zdumieniem.

— Żadasz rzeczy niemożliwych, mój drogi Edwardzie — rzekł — żadne towarzystwo transportowe w Paryżu nie zdoła spakować tego w ciągu jednego dnia. Ta praca potrwa od dwóch do trzech tygodni.

— Trudno... Powiesz w takim razie właściwej osobie, aby ukończyła pracę w ciągu tygodnia. Trzeba będzie następnie doczepić do expressu Paryż — Calais kilka dodatkowych wagonów bagażowych, aby wszystkie nasze rzeczy mogły pojechać wraz z nami.

— Zrozumiałem — rzekł Charley Brand. — W takim razie wyjeżdżamy dopiero za dwa tygodnie?

— O nie, drogi Charley. Wyjeżdżamy dziś jeszcze. Muszę odbyć w Londynie coś w rodzaju przygotowanej kwarantanny. W hotelu oświadczymy, że udajemy się na prowincję lub na południe, powiedzmy w okolice Cannes lub Nicei. W rzeczywistości czas ten spędzimy w stolicy Wielkiej Brytanii. Za dwa tygodnie powrócimy do Paryża i wyjedziemy stąd oficjalnie, aby wziąć udział w uroczystościach angielskich.

— Edwardzie! Jakże bym chciał zwiedzić z tobą południe Francji! Nie mam zamiaru, mówiąc szczerze, przybywać zbyt wcześnie do Londynu...

— Niestety... Tęsknię za Londynem i wzywają mnie tam moje interesy... Mam do uregulowania pewne skomplikowane sprawy z moim bankierem.

— All right!

Charley nie oponował. Wiedział, że wysiłki, zmierzające do skłonienia Listera, aby porzucił swój plan, są z góry skazane na zagładę.

Następnego ranka wylądowali w Dover. Od razu ogarnęła ich fala sprzedawców gazet, kolpor-

ujących poranne wydanie „London News“ z karykaturą Baxtera.

Podczas drogi z portu na stację, Raffles wił się po prostu ze śmiechu. Karykatura inspektora policji wylaniała się z każdego kiosku, z każdej wystawy z książkami i czasopismami.

Dopiero w pociągu mogli porozmawiać ze sobą swobodnie.

— Wpadłem na wspaniałą myśl — rzekł Raffles.

— Wcale mnie to nie cieszy — odparł Charley. — Ilekroć oświadczasz mi, że masz nowy pomysł, łączy się to zawsze z jakimś nowym niebezpieczeństwem...

— Obawiasz się bez powodu, drogi Charley. Od chwili, gdy przekonałem się, że nie sposób sprowadzić ludzi z drogi zbrodni, ani też poprawić ich widmem kary, staram się oddziaływać na nich przez ośmieszanie. Zauważyłeś już, że oddają się teraz zupełnie niewinnym igraszkom... Wierz mi, że trudniej jest wywołać śmiech u swych bliźnich, niż pomóc policji w odszukaniu sprawcy przestępstwa.

— Zgadza się. Czy mógłbyś mi jednak powiedzieć jaki nowy figiel zamierzasz splatać naszemu Baxterowi?

— Nie mogę, niestety... Nie chcę psuć ci wrażenia. Gwarantuję, że będzie to najlepsza farsa, jaką widziałeś.

Po przybyciu do Londynu, lord Lister spędził cały dzień na odpoczynku w swej pięknej willi, położonej w okolicy Hyde Parku. Dopiero następnego dnia po południu zaproponował Charleyowi przechadzkę.

— Musimy wynająć sobie mieszkanie — rzekł.

Sporo czasu upłynęło zanim Tajemniczy Nieznajomy dobrał sobie coś odpowiedniego. Przebyli nieskończoną ilość ulic, aż wreszcie lord Lister znalazł to, czego szukał. Mieszkanie wybrane przez niego, położone było na czwartym piętrze niedawno wybudowanego domu. Kamienica świeciła jeszcze pustkami. Raffles miał być jego jedynym lokatorem. Była to widocznie zaleta, która przesądziła o wyborze.

Po podpisaniu kontraktu najmu, Raffles udał się do stolarza, gdzie zakupił meble, następnie do grawera, u którego zamówił szyldzik z następującym napisem:

„James Burton, Profesor dyplomowany, Członek królewskiego instytutu eugeniki. Kuracje upiększające. Przyjmuje od godz. 9—10 rano i od 4—5 po poł.“

— Któż to taki, ten James Burton? Czy znasz tego profesora? — zapytał Charley, gdy znaleźli się na ulicy.

— Oczywiście, mój drogi. Spodziewam się nawet dziś wieczorem jego wizyty. Będziesz mógł zawrzeć z nim znajomość.

Charley potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Nigdy jakoś nie słyszałem o twym przyjacielu Burtonie. Musiał widocznie pisać do ciebie w sprawie wynajęcia mieszkania?

Raffles puścił to pytanie mimo uszu.

— Przypominasz sobie niewątpliwie, że poznałeś u mnie cały szereg osób. Osoby te egzystują tak długo, dopóki ja, ich twórca, pozwałam im chodzić po świecie... Dziś przyszła kolej na profesora Jamesa Burtona...

Młody człowiek daremnie starał się zrozumieć znaczenie tych zagadkowych słów. Jakkolwiek żył już u boku Rafflesa osiem lat i pochlebiał sobie,

że zna go doskonale, nie mógł tym razem go zrozumieć.

Po powrocie do wili, Raffles zamknął się w swym pokoju. Znajdowały się tam szafy, pełne najrozmaitszych ubrań i kostiumów.

Charley Brand siedział wieczorem w fotelu, paląc papierosa i czytając gazety. Nagle stary służący, który pamiętał jeszcze czasy rodziców lorda Listera i był serdecznie przywiązany do swego pana, otworzył drzwi i zaanonsował uroczystość:

— Mister James Burton, „profesor piękności“...

Charley podniósł się na przyjęcie gościa.

— Lord Lister oczekuje tego pana — rzekł — proszę go wprowadzić.

Służący ukłonił się i znikł. Po kilku minutach otworzył drzwi po raz wtóry. Do salonu wszedł starszy już jegomość o uroczystym wyglądzie.

## Pistolet-automat „GROM“

Przeznaczaliśmy dla reklamy dalsze 5.000 sztuk doskonałych pistoletów

Od wielu naszych odbiorców otrzymujemy liczne listy dziękczynne.



Fason belgijski. Kal. 6-cio mm! Repetuje się przed każdym strzałem, automatycznie wyrzuca łuski. Huk ogłuszający. Idealna obrona przed napadem! Wykonanie luksusowe: lufa pięknie oksydowana, rękojeść kryta błyszczącym bakelitem! Waga 200 gr., długość 10 cm., szer. 5 cm. Gwarancja fabryczna na 5 lat. Cena tylko zł. 6.95, 2 sztuki 13.50. — Setka nabołyst. „Flobert“ zł. 3.65. Zabezpiecza od mimowolnego strzału. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj:

### Kazimierz Kołodziejczyk

Warszawa I. Pl. Napoleona skr. poczt. 802 L. L. Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw! Liczni pokatni sprzedawcy naśladowają nasze doskonałe pistolety, sprzedając bezwartościowe korkowce.

Łysina jego miała różowawy odblask, oczy lśniły za okularami w złotej oprawie.

— Czy mam przyjemność mówić z lordem Listerem osobiście? — zapytał.

Charley zaprzeczył.

— Żałuję bardzo, panie profesorze, ale mój przyjaciel jest chwilowo zajęty — rzekł. — Powinien nadejść lada chwila. Zechce pan spocząć, profesorze...

Profesor usiadł poważnie naprzeciw Charleya. Aby przerwać milczenie młody człowiek rzucił:

— Czy mogę pana poczęstować cygarem?

— O nie, dziękuję — odparł lekarz. — Nikotyna i alkohol wywierają zgubny wpływ na urodę. Widzę po pańskich rysach i zmarszczkach, które zaczynają się tworzyć dookła pańskich ust, że jest pan nałogowym palaczem. Mogę nawet panu wymienić pańską ulubioną markę.

Tu profesor zacytował istotnie nazwę ulubionych przez Charleya papierosów. Charley zdumiał się

Skąd ten nieznanomy znał gatunek jego ulubionych papierosów?

— Istotnie, panie profesorze — rzekł. — Ale w jaki sposób pan to poznał? Czyżby po aromacie moich papierosów?

— O nie... Mógł palić w tym pokoju przecież ktoś inny. Przyszedł do tego wniosku, obserwując małą wpół okrągłą zmarszczkę, tworzącą się u kącików pańskich ust. Palacze cygar mają tę zmarszczkę daleko wyraźniejszą.

— Podziwiam pańską wiedzę, profesorze.

— Dodam, że mydło, które pan używa, jest również szkodliwe dla cery... Używa pan, jak widzę, mydła Pearsa.

— W samej rzeczy...

— Domyśliłem się tego, widząc szarość pańskiej twarzy i zlekka rozszerzone pory.

— Pańskie diagnozy są zadziwiające. Byłby z pana wspaniały sędzia śledczy...

— James Burton uśmiechnął się. Komplement ten sprawił mu widoczną przyjemność.

— Ze słów pańskich nabrałem przeświadczenia, że nie zna pan osobiście lorda Listera? — zapytał Charley.

— Znam go doskonale.

— A jednak zwrócił się pan do mnie, przyjmując mnie za niego.

— Czyż to możliwe? Ośmielałem się twierdzić, że lorda Listera znam lepiej niż pan.

Charley wybuchnął śmiechem.

— Tym razem pomylił się pan, panie profesorze!

— Nie myślę się nigdy. Założmy się, jeśli pan chce.

— Przyjmuję, ale ostrzegam pana jednocześnie, że przegra pan zakład.

— Hm — mruknął profesor — stawiam 20 funtów szterlingów. A pan?

— Ja również.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł Burton. — Utrzymuje pan, że zna pan lorda Listera. Jeśli twierdzenie pańskie jest zgodne z rzeczywistością, proszę mi go pokazać.

Charley poruszył się nerwowo.

— Powiedziałem panu zaraz na wstępie, profesorze, że mój chlebodawca jest chwilowo zajęty i że będzie pan musiał nieco poczekać...

Głośny wybuch śmiechu zatrzęsł postacją profesora. Charley Brand spojrzal z przerażeniem na gościa, który gwałtownym ruchem zerwał sztuczną brodę. Młody człowiek miał przed sobą lorda Listera.

— Biedny Charley — rzekł Raffles — znów przegrałeś 20 funtów...

Charley ze zdumienia nie mógł wykrztusić ani słowa. Opanował się wreszcie i rzekł lekko podrażnionym tonem:

— Pozwoliłeś sobie wobec mnie na dość niemądry kawał...

— Niemądry? Uważam, że jest znakomity. Daruję ci twoich 20 funtów: przegrywając zakład, zwolniłeś się już z zobowiązania zapłaty. Chciałem stwierdzić, czy mnie poznasz. Próba powiodła się znakomicie: nawet ty, mój najlepszy przyjaciel, nie mogłeś domyśleć się w profesorze Jamesie Burtonie lorda Listera.

— Przyznaję, że w sztuce charakteryzacji przeszedłeś już samego siebie.

— Jeśli w najbliższych dniach będziesz miał mi coś do zakomunikowania, udasz się do mieszkania profesora Burtona pod Nr. 216 na Strandzie. Będzie odtąd mieszkał pod tym adresem, aż do chwili, gdy ukończę przygotowania do uroczystości dworskich.

## Dzień przyjęć

Inspektor policji Baxter był w wyjątkowo złym humorze. Łamał sobie głowę, w jaki sposób wykonać polecenie szefa protokołu, dmagającego się wysłania na uroczystości policjantów, odznaczających się wyjątkowym wyglądem zewnętrznym.

Wyciągnął z kieszeni małe lusterko i zaczął bacznie przyglądać się swej twarzy. Pierwszym szczegółem, który rzucił mu się w oczy, była brodawka. Miał wrażenie, że zajmowała całą powierzchnię lusterka.

Przez całą noc usiłował ją spłaszczyć i zmniejszyć. Nie doprowadziło to jednak do żadnego rezultatu. Wprost przeciwnie. Zabiegami tymi wywołał zapalenie, dzięki któremu brodawka nabrała fioletowej barwy. Miał wrażenie, że od wczoraj urosła znacznie.

Baxter ruchem pełnym rozpaczy schował lusterko do kieszeni.

— Co robić?

Z tych czarnych myśli wyrwało go pukanie do drzwi. Do gabinetu wszedł policjant z kartką wizytową w ręce. Baxter przeczytał nazwisko, które w pierwszej chwili nic mu nie mówiło. Dopiero gdy przeczytał tytuł profesora oraz jego specjalność skoczył na równe nogi i zawołał:

— Natychmiast sprowadzić mi tutaj tego jego mościa.

Człowiek ten, który zjawił się nagle, był dla Baxtera ostatnią deską zbawienia. Baxter przyjął go uprzejmie, z uśmiechem podsunął mu fotel i podsunął pudełko z cygarami.

— Czym mogę panu służyć, panie profesorze? — zapytał.

— Chciałbym zadać panu pewne pytanie... Zostałem wezwany do Londynu w związku z uroczystościami. Dziś przybyłem z Paryża i wynajmowałem mieszkanie na Strandzie. Aby zwabić klientelę, mam zamiar zainstalować na moim domu świetlną reklamę. Nie znam jednak przepisów policyjnych, regulujących te sprawy. Nie wiem mianowicie, jakie są dozwolone wymiary... Byłbym panu szczerze zobowiązany, gdyby pan zechciał udzielić mi informacji.

— Bardzo mi przykro, ale nie jestem w stanie — odparł Baxter. — Zwrócił się pan pod niewłaściwym adresem. Niechże się pan zgłosi do inspektora Dixyna. Ja zajmuję się tylko sprawami karnymi. Profesor podniósł się.

— Zechce mi pan wybaczyć...

Baxter siedział, jak na rozżarzonych węglach. Należało, póki czas, chwycić nadarzającą się okazję. Doktor Burton mógł być jego zbawcą.

— Ależ to nic nie szkodzi, drogi profesorze — rzekł — przybysza pan w samą porę. Czy mógłby pan poświęcić mi jeszcze kilka chwil czasu?

— Czego pan sobie życzy? Chętnie panu służę...

— Chciałbym zasięgnąć porady w zakresie pańskiej specjalności.

— Bardzo proszę — odparł James Burton, wyciągając z kieszeni zegarek. — Pozwolę sobie zaznaczyć, że za każdą minutę konsultacji liczę sobie dwa funty.

— Gotów jestem zapłacić!

Aby zyskać na czasie — suma bowiem wymieniona przez profesora wydała mu się zastraszająca — Baxter postanowił oświetlić sprawę w spo-

sób możliwie jak najkrótszy. Stał przed doktorem i zapytał:

— Czy widzi pan brodawkę na moim nosie?

— Oczywiście...

— Cóż powinienem robić, aby się jej pozbyć?

— Przypadek jest skomplikowany. Musi się pan poddać leczeniu.

— Ile to czasu zajmie?

— Jeśli pan zechce zgłosić się do mego instytutu i przez kilka dni poddać się kuracji, usunę panu tę brodawkę, a jednocześnie dokonam kompletnej zmiany pańskiej twarzy.

— Czy to możliwe?

Profesor zrobił urażoną minę.

— Skoro wątpi pan w moje umiejętności, dalsza rozmowa staje się zbyteczna. Good bye!

Baxter chwycił profesora za poję surduta.

— Niech pan nie odchodzi, profesorze — zawołał błagalnym tonem. — Ani przez chwilę nie wątpięm w pańską wiedzę. Mam do pana całkowite zaufanie. — Niechże pan siądzie, proszę...

James Burton zgodził się łaskawie. Baxter usiadł naprzeciwko niego.

Profesor wskazał palcem na leżącą na biurku kartę wizytową.

— Niech pan przyjdzie jutro do mego gabinetu w godzinach przyjęć.

Baxter spojrzał na kartę.

— Czy nie mógłbym przyjść do pana jeszcze dziś wieczorem? — zapytał. — Zależy mi na pospiechu.

— Dobrze — odparł profesor. — Niech pan przyjdzie dziś wieczorem.

Profesor wstał i spojrzał na zegarek.

— Porada trwała 12 minut. Należy mi się od pana 24 funty szterlingów. Zechce mi pan łaskawie zapłacić należność.

Inspektor policji wyjął portfel i dość niechętnie odliczył żadaną sumę. Profesor niedbalym ruchem włożył pieniądze do kieszeni, wziął kapelusz i ukłonił się uprzejmie.

— Good bye!

— Good bye!

Już w drzwiach dogonił go Baxter:

— Byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby mi pan zechciał powiedzieć, ile będzie kosztowała cała kuracja

— All right — odparł profesor — pańskie żądanie jest zupełnie słuszne. Dwudniowa kuracja w moim instytucie, łącznie z wszelkimi zabiegami, kosztuje 400 funtów. Z reguły honoraria muszą być wpłacane z góry.

Mimo astronomicznej wysokości tej ceny, Baxter ucieszył się, że suma ta uczyni go pięknym.

— Przyniosę pieniądze, panie profesorze. Żądam urlopu i o godzinie czwartej będę w klinice.

Doktor James Burton wyszedł. Po jego wyjściu Baxtera ogarnęła szalona radość na myśl o tym, że niebawem będzie mógł zadziwić wszystkich swoją urodą. Począł śpiewać głośno. Zdziwiony Marholm uchylił drzwi i zajrzał do gabinetu swego szefa.

— Nasz stary traci resztki rozumu — pomyślał Marholm.

— Co się tu stało, panie inspektorze? — zapytał głośno.

Na widok sekretarza, Baxter chwycił go w ramiona i wraz z nim zaczął tańczyć w takt walca.

— Niedługo wszyscy powariujemy — pomyślał Marholm — do tego już doszło, że tańczę z nim razem...

## PRAWDZIWA CZARNA I BIAŁA MAGIA

Każdy kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Czarodziejska tablica. Lustro magiczne. Polykanie ogonia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Spiewająca flaszka. Jajo w butelce. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrytych przedmiotów. Sztuki z rachunkami, z kartami. Seanse spirytystyczne. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy różne książki, komplet z 8 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z pięknymi ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. Adresuj: Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa I. Pl. Napoleona skr. poczt. 802 LL.

UWAGA: Bezplatnie dodajemy najnowsza wszechświatowa „Kabałę Indyjską”. Odgadywanie przyszłości. Sztuka wrózenia z kart i rak.



Nie mógł postąpić inaczej, gdyż Baxter byliby mu deptał po palcach, a Marholm miał bardzo wrażliwe stopy.

Gdy po raz piąty okrażali w tańcu gabinet, drzwi od korytarza otworzyły się i ukazał się w nich sekretarz szefa protokołu.

Zdumiony zatrzymał się w progu i poprawiając monokl, szepnął:

— Wydaje mi się, że się tu panowie nie nudzicie...

Inspektor pochłonięty tańcem, nie zauważył jego wejścia.

— Hurra! Hurraa! — krzyczał na cały głos. — Niedługo pozbędę się mojej brodawki!

Urzędnik królewski zamknął szybko drzwi.

— Mam wrażenie, że wasz inspektor i jego sekretarz dostali nagle ataku szału — rzekł do zgromadzonych w korytarzu policjantów.

— Wcale nas to nie zdziwi, jeśli chodzi o jednego z nich — odparł sierżant. — Jesteśmy przyzwyczajeni do jego wariacji. Ale ten drugi, Marholm, to chłop rozsądny i przywoity.

— Nie można dłużej tolerować tego skandalu — odparł sucho sekretarz szefa protokołu.

— Nic na to nie poradzimy. Kiedy ma się naszywkę — tu sierżant wskazał wymownie na drzwi prowadzące do gabinetu inspektora — wszystko jest w porządku.

— Ale ja tu przychodzę w bardzo ważnej sprawie — odparł sekretarz. — Proszę przywołać waszego szefa do porządku.

Sierżant uderzył pięścią w drzwi prowadzące do biura i nie czekając na odpowiedź wszedł do brodka.

Marholm z trudem chwycił oddech. Inspektor wlokł go prawie przemocą dookoła gabinetu.

— Czego chcecie? — zawył Baxter.

— Mam panu coś ważnego do zakomunikowania, panie inspektorze.

— Nie przeszkadzajcie mi. Widzicie przecież, że jestem zajęty.

— Może się pan wreszcie zatrzyma — jęknął Marholm — widzi pan przecież, że nie mogę już dłużej...

— Co mnie to obchodzi! — zawołał Baxter. — Najważniejsze, że wkrótce pozbędę się mej brodawki.

— I dlatego chce pan, abym zatańczył się na śmierć?

— Jeszcze trochę — prosił Baxter niezmordowany.

— Sekretarz szefa protokołu pragnie z panem mówić, inspektorze!

Wiadomość ta uspokoiła natychmiast Baxtera. Doprowadził do porządku swój mundur i zwracając się do Marholma, zawołał:

— Proszę wrócić natychmiast do swego pokoju.

— Wprowadzić tego pana — rzucił policjantowi.

Nie miał najmniejszego pojęcia o tym, że sekretarz asystował przy jego ewolucjach tanecznych.

Urzędnik dworski utkwiał surowe spojrzenie w inspektorze, który stał przed nim jeszcze zaczerwieniony i zdyszany ze zmęczenia.

— Pragnę panu zakomunikować rozkaz marszałka dworu. Jego ekscelencja widział pańską podobiznę w dziennikach i polecił mi powiedzieć, że jeśli oryginał podobny jest do rysunku, to powinien się pan trzymać z dala od udziału w uroczystościach. Mam możność przekonać się osobiście, że artysta w niczym nie przesadził. Z tego nosa można by wykroić trzy normalne i dość duże nosy.

Baxter uczuł zimny dreszcz.

— Zechce pan oznajmić odnośnym czynnikom — rzekł drżącym głosem — że dziś wieczorem oddaję się pod opiekę pewnemu lekarzowi-specjaliście w zakresie kosmetycznej chirurgii. Wierzę, że w ciągu dwóch dni pozbędę się tej narośli na mej twarzy.

Sekretarz poprawił monokl na nosie.

— Miejmy nadzieję, że ta kuracja się powiedzie. Muszę jednak stwierdzić, że wypadek pański jest szczególnie ciężki...

Z tymi słowy sekretarz opuścił gabinet.

Baxter usiadł za biurkiem i zaczął pisać podanie o urlop. Po jego wyjściu Marholm chwycił to podanie i począł je z triumfem obnosić po gmachu policji. Dwa dni wolne od Baxtera oznaczały dla wszystkich dwa dni odpoczynku.

## Kuracja u doktora Jamesa Burtona

Punktualnie o godzinie czwartej po południu Baxter przybył do kliniki doktora Jamesa Burtona. Inspektor policji promieniał...

Radość jego przygałaby niezawodnie, gdyby wiedział, że oddaje się w ręce swego odwiecznego wroga — Rafflesa.

Drzwi otworzył mu służący w nieskazitelnym liberii. Był nim oczywiście nasz dobry znajomy, Charley Brand.

Służący wprowadził go do poczekalni. Siedziało już tam kilka kobiet, zwabionych ogłoszeniem, które ukazało się w gazetach. Baxter czekał na swoją kolej przeszło pół godziny. Przez ten czas nie spuszczał oka z klientek doktora. Były to kobiety starszawe i brzydkie... Sądząc po sposobie ubrania i po klejnotach, musiały być bardzo bogate.

Raffles przyjął Baxtera w sposób imponujący.

— To pan, panie inspektorze policji — rzekł na przywitanie. — Kazałem już dla pana przygotować pokój. Zaraz będziemy mogli przystąpić do kuracji. Przed tym chciałbym pana zapytać o kilka szczegółów.

Wskazał Baxterowi krzesło. Inspektor usiadł nie bez obawy. Krzesło przypominało fotel dentystryczny.

— Przede wszystkim proszę mi powiedzieć zupełnie szczerze — zapytał profesor — jak pan spędza swój wolny czas? Czy prowadzi pan życie



uregulowane?

Baxter chrząknął kilkakrotnie, zanim zdobył się na odpowiedź.

— Życie moje nie jest bardziej rozwięzłe od życia większości mych współobywateli.

— Oto właśnie przyczyna pańskiej brodawki...

— Czy pan istotnie sądzi, że jest ona wynikiem mojego temperamentu?

— Jestem tego pewny — odparł Raffles. — Badania mikroskopowe pańskiej narośli wykazały niewątpliwie bakcyle miłosne...

— To okropne — jęknął Baxter. — Co mi pan radzi robić? Nie będzie mnie pan chyba operował?

— Jeśli pan chce być przystojnym mężczyzną, musi pan zaufać mi całkowicie. Operacja, której zamierzam dokonać, nie jest wcale bolesna.

— Czy nie może pan — przerwał Baxter drżącym głosem — usunąć mi brodawki w inny sposób?

— Jest to możliwe, ale to będzie pana kosztowało dodatkowo pięćdziesiąt funtów.

— Zgadzam się. Boję się wszelkich operacji...

— All right — rzekł Raffles — proszę wręczyć mi umówione honorarium, a natychmiast przystąpię do roboty.

Baxter wyjął z portfela żadaną sumę.

— Muszę wysmarować twarz maścią — wyjaśniał Raffles — której nie wolno panu zmyć aż do jutra rana. Ponadto nie wolno panu wziąć do ust ani kropli alkoholu. Musi pan zachować ścisłą dietę. Byłoby najlepiej, gdyby pan w ogóle wstrzymał się od jedzenia.

— Zgadzam się na wszystko... Chodzi mi o to, abym wyszedł z pańskiego instytutu kompletnie odmieniony.

— To panu gwarantuję z góry. Proszę się przechylić w tył... Nałożę panu zaraz na twarz warstwę maści.

Raffles wziął spory słoik, stojący na stole. Po chwili twarz Baxtera połyskiwała od tłuszczu.

— Pańska maść pachnie rycyną...

— Zupełnie słusznie. Rycyna zmiękcza skórę i jest najlepszym środkiem kosmetycznym.

— Ależ to cuchnie okrutnie!

— Niepotrzebnie się pan obliżuje. Zechce pan wstać...

Baxter wszedł za profesorem do pokoju o jedynym tylko oknie, którego całe urządzenie stanowiło łóżko i stolik.

— Proszę się położyć i czekać, aż do pana przyjdę. Przystąpimy wówczas do dalszych zabiegów.

Baxter rozebrał się i posłusznie położył do łóżka.

Raffles wyszedł z pokoju. Pod drzwiami Charley Brand — rzekomy służący — trzymał się za boki od śmiechu.

— Wiedziałem, że potrafisz dokonać wielu rzeczy, Edwardzie — rzekł — ale, że wysmaruję tłuszczem twarz inspektora policji i że będziesz trzymał go u siebie zamkniętego w pokoju, tego nawet i ja się nie spodziewałem!

Raffles uśmiechnął się z zadowoleniem. Zapalił papierosa i rzekł:

— Mogłbym przedłużyć tę komedię i zamienić moje ubranie na paradny mundur Baxtera. W mundurze tym mógłbym wziąć udział w uroczystości. Ale to mnie nie nęci... Mamy dziś wolny wieczór. Przygotuj się, Charley: zabieram cię do teatru.

✱

Gdy następnego ranka Raffles wszedł do pokoju Baxtera, inspektor policji spał jak zabity. Raffles musiał potrząsnąć nim silnie, aby go obudzić. Inspektor mruknął coś niezrozumiale pod nosem, miał wrażenie, że to wierna Eulalia budzi go z głębokiego snu.

— Poczekajże, ty stare straszdyło — ryknął, siadając na łóżku. — Już ja cię nauczę, więdźmo obrzydliwa, jak się budzi swego pana! Nie ma jeszcze godziny dziewiątej!

— Zupełnie słusznie — odparł Raffles. — Nie ma godziny dziewiątej, ale nie ma również przed panem Eulalii Quickebought. To ja, profesor James Burton!!

Baxter oprzytomniał.

— Proszę mi wybaczyć profesorze — rzekł. — Przyjąłem pana za moją gospodynię...

— Niechże pan wstaje... Musi się pan wykapać.

— Czy to konieczne? — zapytał Baxter z niechęcią.

— Tak, to konieczne — odparł Raffles. — Człowiek, który pragnie być piękny musi być przede wszystkim czysty. Mój służący przygotował już dla pana kąpiel.

— Czy woda jest przynajmniej ciepła?

— Nie. Jest zupełnie zimna.

— Wielkie nieba — jęknął Baxter — nigdy jeszcze w życiu nie kąpałem się w zimnej wodzie. Zazębuję się z pewnością.

Profesor Burton był niewzruszony. Baxterowi nie pozostało nic innego, jak pomaszercować do łazienki. Oczekiwał go tam Charley, uzbrojony w ostrą ryżową szczotkę. Nie zważając na piski i protesty Baxtera, począł szorować go z całych sił.

— Do licha! — klął od czasu do czasu. — Ale z powrotem w łóżku. Zimna kąpiel dodała mu apetytu. Był głodny jak wilk.

Wreszcie po pół godzinie Baxter znalazł się też pan ma grubą skórę!

— Powiedz mi, mój przyjacielu — rzekł zwracając się do Charleya — gdzieby tu można było zjeść dobry befszyk.

— W tej sprawie musi się pan zwrócić do profesora.

W drzwiach ukazał się profesor, niosąc w ręku talerz z suszonymi śliwkami.

— Proszę, oto pańskie śniadanie — rzekł — kąpiel odświeżyła pańskie ciało, ale tylko od zewnątrz. Przystąpimy teraz do „czyszczenia organizmu“ od wewnątrz.

Charley Brand szybko wyszedł z pokoju, ponieważ czuł, że wybuchnie śmiechem.

— Jeśli pan jest głodny, drogi panie -inspektorze, może pan otrzymać jeszcze jedną porcję suszonych śliwek oraz talerzyk kompotu...

Baxter pochłonięty był właśnie wylizywaniem kompotu. Zdażył tylko odpowiedzieć gestem, że nie będzie jadł nowej porcji. Czuł w okolicy żołądka złowróżbne bóle.

Zaledwie Raffles wyszedł, inspektor wyskoczył z łóżka i szybko jak strzała wybiegł z pokoju.

Po upływie pół godziny do pokoju Baxtera wszedł Charley Brand.

— Pan profesor zapytuje, czy nie zjadłby pan czegoś?

— Apetyt mi wprawdzie dopisuje — jęknął Baxter — ale miejcie litość i nie przynoscie mi więcej kompotu. Mam już w żołądku prawdziwą rewolucję.

Charley zakomunikował swemu przyjacielowi odpowiedź inspektora. Raffles natychmiast udał się do kuchni. Wyszedł z niej szybko, trzymając w każdej ręce po jednym talerzu.

— Toż to prawdziwa końska kuracja — szepnął Baxter, ujrawszy ich zawartość. — Zginę marnie jeśli zjem tyle zsiadłego mleka.

— Myli się pan — odparł Raffles. — W ten sposób wydali pan tylko ze swego ciała wszystkie trucizny. Proszę się położyć na brzuchu: przystępujemy do masażu!

— Czy nie mogłoby się bez tego obejść?

— Pod żadnym pozorem.

— Niechże pan w takim razie stara się masować ostrożnie... Jestem zupełnie złamany.

— Po to właśnie jest pan tutaj. W domu nigdy nie poddałby się pan tak energicznej kuracji. Ale zanim zacznę, proszę wziąć tę butelkę rycyny... Natrzemy nią twarz, jak wczoraj.

Baxter posłusznie wykonał polecenie.

James Burton zakasał rękawy i zabrał się do masażu. Nieszczęśliwy inspektor wył z bólu. Raffles odczuwał złośliwą przyjemność w dręczeniu jego tłustego ciała. Gdy wypuścił go ze swych rąk, całe ciało Baxtera pokryte było sinymi i brunatnymi plamami.

— Na kolację dostanie pan dzisiaj rumsztyk. Na twarz nałożę panu „maskę piękności“.

## PALACZE TYTONIU RATUJĄ ZDROWIE NIKOTYNA ZATRUWA ORGANIZM



Możecie w sposób łatwy i przyjemny odzwyczaić się w ciągu 3-ch godzin od palenia. Zamówcie zaraz nasz wiewczy papieros „IDEAL“, a ochronicie swe zdrowie przed niszczącym wpływem nikotyny. — Papieros „IDEAL“ daje możność zaciągania się i oddziaływa zbawienne na błonę śluzową nosa i gardła. „IDEAL“ wzmacnia i krzepi organizm, dając zadowolenie duchowe i fizyczne. Mnóstwo listów dziękczynnych — Cena zł. 2,45. Płacić się przy odbiorze. Nie zwlekajcie! Zamówcie — póki nie jest za późno! Straconego zdrowia nie odzyskacie! Płacić się przy odbiorze. Adresuj:

**Kazimierz Kołodziejczyk**

Warszawa I. Pl. Napoleona skr. poczt. 802 L. L.

— Co mi pan chce nałożyć? — zapytał Baxter przygaszonym głosem.

— „Maskę piękności“...

— Czy mogę wiedzieć, co to jest?

— Nie — odparł profesor. — To mój sekret. Niech się pan uspokoi. Jest to cienka warstwa masy, którą kładziemy na twarz i którą powinna na niej spoczywać około tygodnia. Po upływie tego terminu maska sama odpada. Masa, z której jest ona zrobiona, posiada właściwości upiększające.

— Ależ profesorze, czy będę mógł pokazać się w tej masce na uroczystościach dworskich?

— Ależ oczywiście — odparł Raffles — wszyscy będą podziwiać pański wygląd.

— A moja brodawka?

— Pokryję ją tak zręcznie maską, że nikt jej nie zauważy.

— Ale mój nos stanie się pod powłoką z masy jeszcze większy...

— Bynajmniej. Zmniejszę jego rozmiary umiejętnym masażem.

Inspektor Baxter rzucił się, jak wilk na przyniesiony przez Charleya rumsztyk. Dawno już nie jadł z takim apetytem. Gdy pożerał ostatni kęs, do pokoju wszedł profesor, niosąc miseczkę napel-

nioną różową masą. Postawił ją na nocnym stoliku i zaczął wcierać tę masę w twarz pacjenta. Zabieg ten trwał około pół godziny. Masa ta była spreparowana z wapna, kłajstru i oliwy i przylegała do twarzy jak rozpuszczona guma... Wysychała jednak szybko i twardniała, stając się niemożliwa do usunięcia.

Baxter w masce tej wyglądał naprawdę odrażająco. Robił wrażenie hipopotama, ubabranego w różowym cieście...

W pokoju, oczywiście, nie było lustra.

Nazajutrz o godzinie siódmej rano Raffles obudził inspektora.

Doktor Burton odprowadził Baxtera aż do aury, które czekało przed domem. Rzucił szoferowi rozkaz, aby czymprędzej jechał na dworzec „Victoria“.

Gdy tylko taksówka ruszyła, Raffles skoczył z Charleyem Brandem do drugiej taksówki i polecił szoferowi jechać na ten sam dworzec.

Przybyli w samą porę. Homeryczny śmiech zatrząsł tłumem na widok Baxtera, usiłującego stanąć na czele kolumny honorowej policji.

Baxter sądził w pierwszej chwili, że to piękność jego wywołała tak odbrzmienie wrażenie. Nie podejrzewał, że ktoś może śmiać się z jego wyglądu... Dopiero po chwili wpadło mu na myśl, że może jakaś niedokładność wkradła się do jego stroju. Przejrzał się w oknie wagonu. Na widok odbicia swej twarzy, stanął jak skamieniały. Odwrócił się na pięcie i jak szalony, roztrzaskując wszystkich dookoła, wpadł do najbliższej taksówki.

Jakkolwiek wszystko to odbyło się dość szybko, niektórym dziennikarzom udało się uwiecznić Baxtera na taśmie filmowej.

Marholm pogrążony był w czytaniu gazet, gdy Baxter wzburzony stanął w drzwiach gabinetu. Marholm sądził w pierwszej chwili, że ma przed sobą widmo inspektora. Baxter, nie mówiąc słowa, rzucił się w kierunku lustra.

To, co ukazało się jego oczom, było tak straszne, że inspektor w przystępie bezsilnej złości uderzył pięścią w lustro. Lustro rozpadło się w drobne kawałki.

— Marholmie! Marholmie!

— Co się stało?

— Przeszedłem kurację upiększającą...

— Powiniennem być się tego domyśleć... Nie można pana poznać.

— O Boże! Co mam począć?

— Nic prostszego: postaram się przy pomocy noża zdrapać wapno z pańskiej twarzy.

— Nic z tego nie będzie... Idźcie po lekarza.

W pół godziny później urzędowy lekarz Scotland Yardu mozolił się koło twarzy Baxtera. Przykładał mu rozmaite maści zmiękczające. Zdrapywał, zeskrobywał, aż wreszcie po kilku godzinach udało mu się zdjąć twardą skorupę z twarzy inspektora.

Przy tej operacji Baxter utracił część naskórki i o dziwo... brodawkę. Robił wrażenie białego, któremu czerwonoskórzy zdjęli skalp.

W tej samej chwili do gabinetu wszedł posłaniec z listem. Marholm otworzył kopertę:

„Kochany Inspektorze! — czytał.

Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z mojej kuracji. Jeśli kiedykolwiek w życiu odczuje pan potrzebę gruntownego oczyszczenia organizmu, polecam moją receptę: zimna kąpiel i suszone śliwki z rycyną!

Proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia od Johna C. Rafflesa alias profesora Jamesa Burtona".

Wiść o tym wypadku lotem błyskawicy rozeszła się po całym Londynie.

Nazajutrz wszystkie gazety rozpiślały się szepko na temat przykłej przygody nieszczęsnego inspektora.

„Dziwna przygoda szefa Scotland Yardu! Kuracja upiększająca, która zakończyła się fiaskiem. Inspektor Baxter w roli pacjenta genialnego Rafflesa!” — brzmiały nagłówki.

Marholm przyszedł do biura wcześniej i natychmiast zabrał się do przeglądania porannych pism. Na pierwszych stronicach widniały obszernie artykuły, opisujące dokładnie przedziwną kurację inspektora Baxtera i powikłania, które wynikły z powodu jego brodawki na nosie. Raffles nie omieszkiał bowiem swoim zwyczajem wysłać obszernych listów do redakcyj pism. W listach tych z humorem opisywał wszystkie szczegóły zabawnej przygody inspektora.

— Do licha — śmiał się Marholm — muszę przyznać, że mój Raffles pisuje się dzielnie... Cieszę się z nauczki, która dostała się temu pyszałkowi — Baxterowi. Zdawało mu się, że zostanie drugim Apollinem... I pomyśleć, że ten potwór śmiał się wyrażać ironicznie o mojej osobie!

Tu poczciwy inspektor zaciągnął się dymem z krótkiej fajki i raz jeszcze przyjrzał się wspaniałej ilustracji, znajdującej się pod wspomnianym artykułem. Była to ta sama fotografia, którą udało się zrobić reporterowi „London News” w czasie śpiesznej ucieczki Baxtera z dworca. Inspektor policji wyglądał na tym zdjęciu przedziwnie: twarz jego robiła wrażenie chorego na trąd. Gdyby nie roześmiane twarze obecnych, możnaby sądzić, że jest to zdjęcie tragicznej ucieczki ze szpitala dla trędowatych.

— Dobrze mu tak — mruknął Marholm i rozparł się wygodnie w fotelu.

★

Raffles tymczasem powrócił do Paryża.

— Jutro wyjeżdżamy — rzekł do swego przyjaciela Charleya Branda — czy rzeczy zapakowane?

— Tak — odparł Charley — skomunikowałem się z ministrem kolei. Na jutro otrzymamy pięć specjalnych wagonów bagażowych, które doczepią do naszego pociągu... Nie masz pojęcia, jak uprzejmie przyjęto mnie w Ministerstwie.

— Hm — mruknął Tajemniczy Nieznajomy i zaciągnął się dymem papierosa.

— Gdy sekretarz dowiedział się, że jestem sekretarzem Maharadży Indrabadu natychmiast zakomunikował o tym przybyciu ministrowi. Minister przerwał jakąś ważną konferencję i sam wyszedł na moje spotkanie...

Nazajutrz obaj przyjaciele przybyli do Londynu.

Przyjęto ich z honorami, należnymi potężnemu władcy Indrabadu. Stolica Anglii pragnęła ośnić wschodniego maharadzę przepychem i bogactwem przyjęcia.

Raffles wziął udział we wszystkich rozrywkowych imprezach i wspaniałych uroczystościach dworskich.

Baxter tymczasem siedział w domu i zżymał się ze złości. Jego twarz, pozbawiona naskórka, wyglądała okropnie.

— Niechże pan inspektor siedzi spokojnie — mruzczała stara Eulalia, zmieniając mu bandaż. — Czy widział kto coś podobnego? Wygląda pan jak oparzone prosię...

— Ostrożnie... Boli! — ryknął Baxter, gdy nieostrożnie dotknęła ręką zbolełego miejsca.

— Trzeba było krzyczeć wtedy, kiedy pana, ten specjalista obdzierał ze skóry. Teraz już za późno... A to pana urządził! Jeśli jeszcze raz pan krzyknie, to rzuce wszystko i pójdę sobie... Zgodziłam się do kuchni, a nie na siostrę miłosierdzia.

Mówiąc to, pani Eulalia poczęła zbierać bandaż.

— Eulalio, dziecko najmilsze! — szepnął przytulnie Baxter — wiesz przecież, że nic złego nie myślałem...

Inspektor obawiał się, że Eulalia wykona groźbę i zostawi go bez opieki. Musiałby wówczas wezwać pomocy swego sekretarza Marholma.

— Za nic na świecie — pomyślał sobie w duchu — wolałbym umrzeć, niż pokazać się w tym stanie Marholmowi...

Pani Eulalia dała się ubłagać i przyłożyła wreszcie nowy opatrunek do twarzy i nosa biednego inspektora.

— Czy mogę spojrzeć do lustra? — zapytał Baxter pokornym głosem.

— Jeszcze czego? — odparła energicznie. — Mogę panu powiedzieć na pamięć, jak pan wygląda: jest pan na twarzy czerwony, jak rak, a nos pański spuchł, jak ogórek.

— Piękne połączenie! — szepnął Baxter i zrezygnowany zamknął oczy.

## Koniec.

Następny Nr. 62 „Lorda Listera”,  
który ukaże się w czwartek, dn. 12-go stycznia  
b. r. zawierać będzie przygodę pod tytułem

# W szponach spekulantów

Cena 10 groszy

**Kto go zna?**

— oto pytanie, które zadają sobie w Urzędzie Śledczym Londynu.

**Kto go widział?**

— oto pytanie, które zadaje sobie cały świat.

# LORD LISTER

## T. ZW. TAJEMNICZY NIEZNAJOMY

spędza sen z oczu oszustom, łotrom i aferzystom, zagrażając ich podstępnie zebranym majątkom. Równocześnie Tajemniczy Nieznajomy broni uciskanych i krzywdzonych, niewinnych i biednych.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- |                                  |                                |
|----------------------------------|--------------------------------|
| 1. POSTRACH LONDYNU              | 30. DIAMENTOWY NASZYJNIK       |
| 2. ZŁODZIEJ KOLEJOWY             | 31. W PODZIEMIACH PARYŻA       |
| 3. SOBOWTÓR BANKIERA             | 32. KLUB JEDWABNEJ WSTĘGL      |
| 4. INTRYGA I MIŁOŚĆ              | 33. KLUB MILIONEROW.           |
| 5. UWODZICIEL W PUŁAPCE          | 34. PODWODNY SKARBIEC          |
| 6. DIAMENTY KSIĘCIA              | 35. KRZYWDZICIEL SIEROT.       |
| 7. WŁAMANIE NA DNE MORZA         | 36. ZATRUTA KOPERTA            |
| 8. KRADZIEŻ W WAGONIE SYPIALNYM. | 37. NIEBEZPIECZNA UWODZICIELKA |
| 9. FATALNA POMYLKA               | 38. OSZUST W OPALACH.          |
| 10. W RUINACH MESSYNY            | 39. KRADZIEŻ W MUZEUM.         |
| 11. UWIEZIONA                    | 40. ZGUBIONY SZAL.             |
| 12. PODRÓŻ POŚLUBNA              | 41. CZARNA RĘKA.               |
| 13. ZŁODZIEJ OKRADZIONY          | 42. ODZYSKANE DZIEDZICTWO.     |
| 14. AGENCJA MATRYMONIALNA        | 43. RYCERZE CNOTY.             |
| 15. KSIEŻNICZKA DOLARÓW.         | 44. FAŁSZYWY BANKIER.          |
| 16. INDYJSKI DYWAN.              | 45. ZEMSTA WŁAMYWACZA          |
| 17. TAJEMNICZA BOMBA             | 46. KONTRABANDA BRONI.         |
| 18. ELIKSIR MŁODOŚCI             | 47. OBRONCA POKRZYWDZONYCH     |
| 19. SENSACYJNY ZAKŁAD            | 48. PRZYGODA W MAROKKO         |
| 20. MIASTO WIECZNEJ NOCY.        | 49. KRADZIEŻ W HOTELU.         |
| 21. SKRADZIONY TYGRYS            | 50. UPIORNE OKO.               |
| 22. W SZPONACH HAZARDU           | 51. TAJEMNICZA WYPRAWA.        |
| 23. TAJEMNICA WOJENNEGO OKRETU   | 52. DETEKTYW I WŁAMYWACZ.      |
| 24. OSZUSTWO NA BIEGUNIE         | 53. NIEZWYKŁY KONCERT.         |
| 25. TAJEMNICA ZIELONEJ KASY      | 54. ZŁOTY KLUCZ.               |
| 26. SKARB WIELKIEGO SZIWI        | 55. KOSZTOWNY POJEDYNEK.       |
| 27. PRZFKLETY TALIZMAN.          | 56. BRACIA SZATANA             |
| 28. INDYJSKI PIERŚCIEN           | 57. SPRZEDANA ŻONA.            |
| 29. KSIĄŻE SZULERÓW              | 58. CUDOWNY AUTOMAT.           |
|                                  | 59. PAPIEROŚNICA NERONA.       |
|                                  | 60. CHIŃSKA WAZA.              |

CZYTAJCIE

EMOCJONUJĄCE I SENSACYJNE

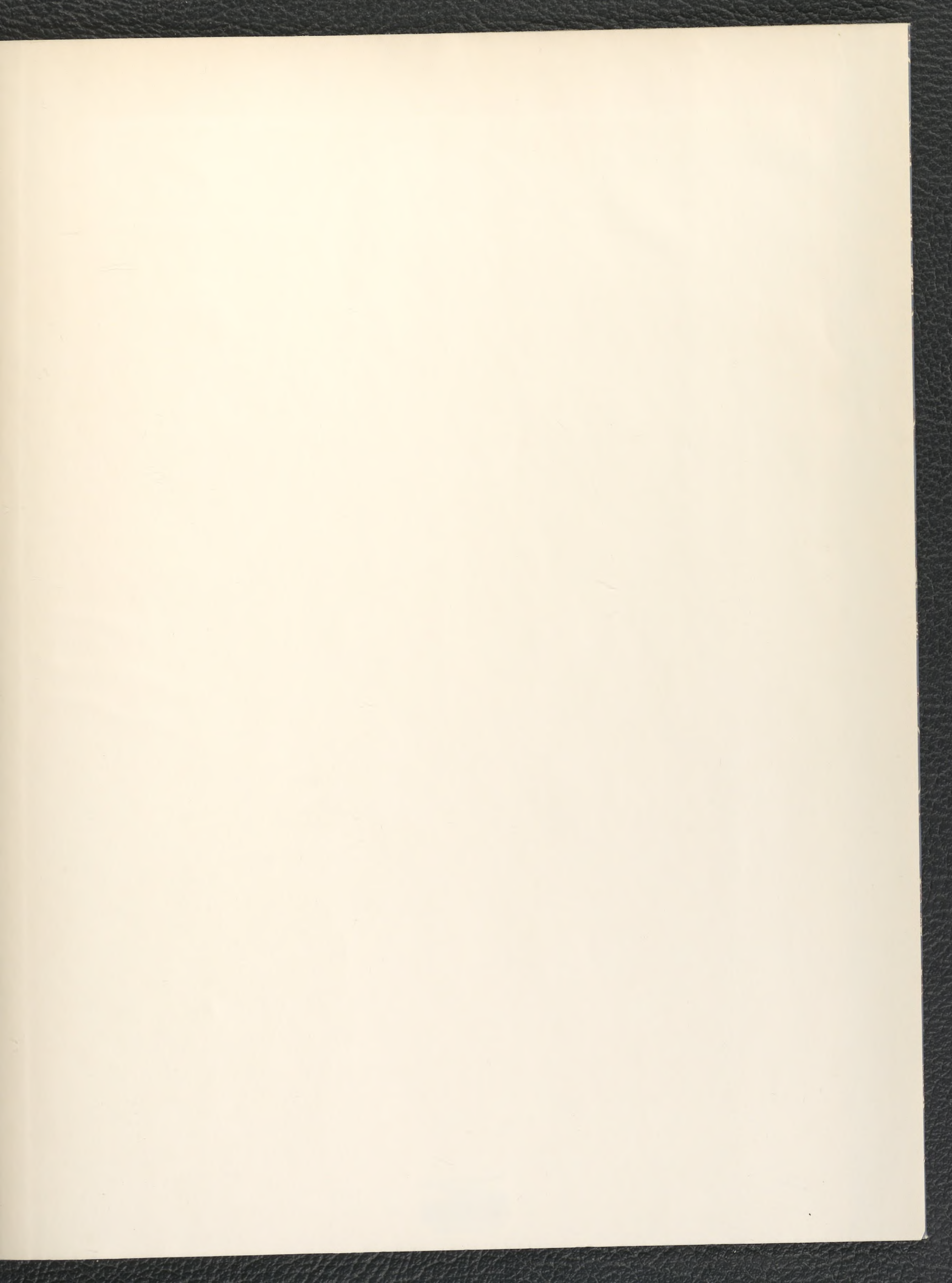
CZYTAJCIE

### PRZYGODY LORDA LISTERA

Cena 10 gr. CO TYDZIEŃ UKAZUJE SIĘ JEDEN ZESZYT, Cena 10 gr. STANOWIĄCY ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

REDAKTOR: Antoni Weiss. — Odpow. za ogłoszenia i reklamy Konstanty Fostew. Zamieszkał w Łodzi.

WYDAWCA: Wydawnictwo „Republika” Sp. z ogr. o.p. — Odbito w drukarni własnej, Łódź, ul. Piotrkowska 49 i 64.  
Konto P. K. O. 68.148, adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14, Redakcji — tel. 1 0-136.





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001028501617





623395

nr 61

(A)

